Rocznik I. Kraków, 1 czerwca 1898. Nr. 11.

RUCH SPOŁECZNY

DWUTYGODNIK POLITYCZNY i NAUKOWY.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

ZABAGNIENIE w POLITYCE.

Dawno z takiem przejęciem nie wyczekiwano w kraju wiadomości z parlamentu austryackiego, jak w ostatnich czasach.

Od roku śledzi opinia publiczna wszelkie najmniejsze szczegóły z posiedzeń izby, czeka na nie z wytężeniem i niecierpliwością, czasem różne wiadomości poruszają umysły tak, jak tylko wiadomości z pola wojny potrafią przejmować i elektryzować wyobraźnię ludzką, a tu tymczasem dobrych wiadomości doczekać się kraj nie może. Od roku przeszło przychodzą same takie wieści i fakta, które ogół instyktowo od sfer najwyżej wykształconych aż do najniższych, jako szereg niepowodzeń i klęsk politycznych odczuwa.

Koło polskie przyzwyczaiło niemal kraj do tego, że od lat kilkunastu każda ważniejsza wiadomość z parlamentu była wiadomością o nowem powodzeniu lub zwycięztwie jego polityki, że albo rezultat głosowania wykazywał sukces sprawy bronionej przez koło polskie, albo świetne nowy naszych posłów czy ministrów wróżyły niechybnie w niedalekiej przyszłości zwycięztwo, dodawały otuchy w kraju i podnosiły urok naszego stanowiska i wpływ w monarchii. Tymczasem obecnie przychodzą same zawody i niepowodzenia. Wśród wrzaskliwej obstrukcyi i teroryzmu, nieszanującego wolności słowa, najwymowniejsze nawet usta umilkły.

Swoją drogą, kiedy przez lat kilkanaście koło polskie odnosiło na arenie parlamentarnej powodzenia i zwycięztwa, ataki przeciwko kołu w znacznej części prasy wcale nie umilkły, starano się podburzać opinię w kraju przeciwko niemu, występowano ciągle z bardzo ostrymi zarzutami, stawiano daleko idące wymagania, podkopywano jego powagę i podburzano szerokie masy do walki przeciwko kołu i jego polityce. Rzecz szczególna — dzisiaj, pomimo niepowodzeń, to umilkło. Prowadzi się walka społeczna, nawet bardzo zacięta walka wyborcza, pod firmą haseł ludowych szerzy się radykalizm, ale zjadliwej krytyki i zarzutów przeciw polityce koła polskiego jako takiej niema. Ci nawet, co popierają kandydatury stawiane przeciw kołu, instynktownie czują, że polityka czysto narodowa i reprezentacya interesów kraju, ma jedynego w parlamencie rzecznika a tem jest koło polskie, że w jego szeregach zawartą jest niepodzielnie armia, która kraju broni. Choć ze względów społecznych i taktyki partyjnej stanowisko koła zwalczają, przeciw jego polityce narodowej nic nie mają do zarzucenia. Cały zaś ogół obywateli, który łączy poczucie solidarności narodowej, aż do najniższych warstw intelligencyi małych miasteczek stoi dziś silniej może niż kiedykolwiek przy kole polskiem i życzy i pragnie gorąco jemu i jego politycznemu sztandarowi powodzenia. Pokazuje się, że my w chwilach szczęścia czy większej pomyślności, jak o tem świadczy porozbiorowa historya czy to w Galicyi, w Poznańskiem, a zwłaszcza w Królestwie Polskiem wypadki przed 1830 i 1863 rokiem, nie mamy tyle przymiotów politycznych przezorności, trzeźwości i odwagi cywilnej, co w chwilach zawodów i niepowodzenia, bo gdy te nastają, zaraz wraca roztropność, cierpliwość i umiarkowanie. Czyżby znowu o dzisiejszym położeniu, lub o niedalekiej przyszłości należało się powiedzieć: »mądry Polak po szkodzie«?

Jeśliby to pytanie miało się odnosić do Koła polskiego — nic nie uprawnia do tak pesymistycznego zapatrywania. Ale w każdym razie nie należy mieć żadnych złudzeń, nie dać się unosić porywom i pamiętać o tem, że czynniki i stronnictwa w państwie nie zawsze tak będą się zachowywały, jakbyśmy tego chcieli i pragnęli, aby to było. Polityka jest sztuką starania się o rzeczy możliwe, jest sztuką przewidywania i obierania najtrafniejszych dróg postępowania, które wiodą do pewnego celu, jest rachunkiem prawdopodobieństwa, ale ten rachunek musi być bardzo ścisły. Czasem i najściślejszy rachunek zawieść może, lecz wówczas nie ponosi się winy ani odpowiedzialności; przeważnie jednak owoce pewnego konsekwentnego i dobrze obmyślanego postępowania i wtedy jeszcze zbierać można, byleby się jakiemś chwilowem zdarzeniem albo wrażeniem nie dać zbić z tropu. Jeżeli się jednak rzecz na rachunku nieprawdopodobieństwa opiera, albo liczy, że wypadki muszą tak się odegrać, jak tego sami pragniemy, natenczas tylko los szczęścia, ale nie polityka będzie decydować o rezultatach postępowania i działania.

Obecne położenie państwa i parlamentu jest tak ciężkie i trudne, jak jeszcze nigdy od czasu ery konstytucyjnej nie było. A położenie Koła polskiego w parlamencie da się porównać chyba do pozycyi kawaleryi, która stoi na gruncie przepaścistym, wśród łąk bagnistych, i ani rozwinąć się, ani broni użyć, ani do ataku uderzyć nie może. Tym gruntem przepaścistym, tem trzęsawiskiem bagnistem, na którem stoimy, jest anarchia i radykalizm parlamentaryzmu austryackiego. W takiem położeniu stronnictwa i ludzie, którzy mają wyższe pojęcie o zadaniach i godności ciała prawodawczego, są zupełnie bezbronni, ani walczyć ani nic działać i przeprowadzić nie mogą. Kto ten stan rzeczy uznaje, powi-

nien się godzić i na jego konsekwencye, tj. starać się obierać te środki i drogi, które najpewniej prowadzą do tego, aby z tego błota i trzęsawiska się wydostać i stanąć na pewnym i suchym gruncie. Radykalnych żywiołów dążenie jest wprost przeciwne; one tylko żyją wśród nieporządku i anarchii, i podobne są do fauny i flory, która tylko na bagniskach, wśród wyziewów i mętnej wody się rozwija. Gdyby w parlamencie zapanował porządek i nastąpiła praca, natenczas tesame żywioły które dziś hałasem, pustymi frazesami, napaściami i podjudzaniem wszelkich namiętności wyrastają na bohaterów ulicznych, zniklyby i zmalały odrazu. Wykształcenia, pracy, zdolności nie mają — gdyby w parlamencie nie wolno było na skandale, krzyki, obelgi, gdyby nie wolno od rzeczy, lecz tylko do rzeczy mówić, straciłyby swój wpływ i znaczenie.

Koło polskie nie ponosi żadnej winy za to położenie. Ktokolwiek zaś przypuszczał, że to położenie z upadkiem gabinetu hr. Badeniego się zmieni, łudził się zwodniczo. Przyczyny tkwiły głębiej, to też i następstwa o wiele dłużej muszą się dać we znaki. O przyczynach lepiej dziś nie mówić, należeć to będzie do historyi. Zapomnieć jednak nie można, że jeżeli w każdem państwie, nawet jednolitem narodowościowo, taka reforma wyborcza jak ustawa wprowadzająca V kuryę, musiałaby wzmocnić radykalizm, to oczywiście w austryackim parlamencie, gdzie jest tyle narodowości i tyle najrozmaitszych stronnictw w obrębie jednej narodowości radykalizm musiał sto razy więcej oddziałać na całą izbę i odrazu zawładnąć wszelkie grupy opozycyjne, czyby w opozycyi byli Słowianie czy Niemcy. Dlatego prawdziwie niepowetowanem nieszczęściem parlamentaryzmu w Austryi było to, że przed ostatnimi wyborami nie dokonano zmiany regulaminu. Dalszą fatalnością było, że rząd odrazu nie reagował na pierwsze nieprzyzwoite sceny i tumulty w izbie, kiedy one się zaczynały i kiedy tylko nieliczne i najskrajniejsze żywioły brały w nich udział. Wówczas można było jeszcze złemu zaradzić, ale wówczas gabinet stał z daleka od większości parlamentarnej prawicy, nie chciał się do niej zbliżyć, aby wspólnie z nią środki zapobiegawcze obmyślić; wtedy zaś można było jeszcze liczyć na poparcie bardziej umiarkowanych grup opozycyi w obronie godności parlamentu. Gdy się to nie stało, gdy najdroższy czas ubiegał darmo na pewnych nieporozumieniach między większością, a gabinetem, wskutek czego opozycya i obstrukcya coraz bardziej podnosiła głowę, a poziom parlamentarnych obrad coraz bardziej obniżał się, wszystko staczało się ruchem przyspieszonym jakby po równi pochyłej do upadku i anarchii. Dotknąć wreszcie należy kwestyi najdrażliwszej — rozporządzeń językowych. Nikt nas nie posądzi abyśmy nie stali w obronie równouprawnienia narodowego, albo nie obstawali za dochowaniem sojuszu z Czechami, ale dla jasnego zrozumienia położenia wspomnieć potrzeba, że sposób wydania rozporządzeń w pierwotnem ich brzmieniu i rozciągłości, tudzież równoczesne ich osłabienie wskutek dymisyi gabinetu (i to jeszcze zanim te rozporządzenia wydane zostały) pod wrażeniem zakulisowej opozycyi pewnych grup, był tego rodzaju, że dał się wyzyskać jako hasło walki przeciw niemieckości. Obóz radykalny i antypaństwowy zdołał walce radykalnej i antypaństwowej nadać charakter i pozory walki przeciw Niemcom w Austryi. Na tem stanowisku stanęły początkowo najskrajniejsze stronnictwa, albo te grupy zbankrutowanej liberalnej partyi, która frazesami i deklamacyą starała się swą popularność odzyskać, potem przyłączyły się inne bardziej chwiejne i umiarkowane żywioły, wreszcie, kiedy całej sprawie nadano hasło »narodowej« walki, nawet katolickie i dawniej najbardziej konserwatywne żywioły nie potrafiły się ostać i przyznały się do wspólności interesów niemieckich, do solidarności narodowej.

W tem leży zagadka i fatalność dzisiejszej sytuacyi. Można narzekać i wykazywać z całą słusznością i ubolewać, że tu zchodzi u jednych moment osobistych niechęci lub ambicyi, u drugich chwiejność i brak cywilnej odwagi, złe zrozumienie własnych interesów, krótkowidzenie polityczne, brak ludzi wyższych, którzyby poważniej sprawy pokierowali, ale bądź co bądź faktem jest, że gdy takie hasło wywieszone zostało, wszystkie żywioły niemieckie zeszeregowały się razem aż do większej własności, duchowieństwa, wyższych urzędników i nareszcie aż do żywiołów do niedawna jeszcze na wskroś konserwatywnych. Faktem jest następnie, że wśród tak różnolitych i przypadkowo tylko zjednoczonych grup niemieckich, dotychczas ton nadawał i komendę wykonywał (choć temu wielu przeczy ale rzeczywistość tego dowodzi), nieliczny skrajny klub, który prowadził walkę przeciwko państwu, dynastyi, przeciwko władzy i porządkowi społecznemu, i teroryzował wszystkich, raz narodowem, drugi raz ludowem, a wreszcie rasowem hasłem, i pod jego pokrywką przemykał najczystszy radykalizm nienawiści do religii, poszanowania praw innych i wszystkiego co austryackie. Szowinizm narodowy rozpowszechniał najskrajniejszy radykalizm, teroryzm prowadził jak na pasku chwiejnych, oglądających się na wyborców i czułych na popularność tam, dokąd sam zmierzał; musieli się wszyscy poddawać jego kierunkowi, a gdy zaczęli się oglądać i nie chcieli folgować, presyą zewnętrzną kół wyborczych i dzienników do tego ich zmuszono. Doszło do tego, że tak nieumiarkowany poseł jak Schücker, gdy chciał się wyzwolić z pod teroryzmu, otrzymał wotum nieufności w swym okręgu i był przedmiotem napaści, a tak ultra-narodowy poseł jak Steinwender, przywódca narodowców, miał w swym okręgu awantury i narażony był na zarzuty chwiejności, gdy nie słuchał organu Schönerera. Tensam los czeka wszystkich. Znaną to rzeczą jest w historyi, że radykalizm i teroryzm posługuje się innymi ludźmi jako narzędziem i wyzyskuje ich a gdy tylko ktoś z biegiem czasu poznaje niebezpieczeństwo i niechce być dalej jego poniewolnym sługą, zostaje ubezwładnionym. Wszystko to zaś dzieje się z największą szkodą tej połowy monarchii, ze stratą materyalnych interesów przemysłowych prowincyi niemieckich, ze szkodą miasta Wiednia i dzieje się kosztem osłabienia państwa.

Czy Niemcy tego nie widzą? Prywatnie rozsądniejsi rozumieją to doskonale, ale nie mają odwagi cywilnej wobec roznamiętnienia kół wyborczych. Następnie w naturze niemieckiej leży pewien upór konsekwencyi, że jak raz przejęli się pewną metodą postępowania czy to w polityce, czy w gospodarstwie, czy jakiej gałęzi produkcyi, to jej nie łatwo zmieniają i trzymają się tej samej metody dłużej niż inni, choćby ich na widoczne straty narażała. Reakcya w procesie umysłowym jest bardzo powolna, zwłaszcza, że niema wyższych ludzi na przywódców. Jest także i inny powód, Niemcy nie obawiają się tak jak u nas osłabienia państwa, jedni dlatego, gdyż liczą, że osłabione państwo czy rząd skłonniejsze będzie do kapitulacyi wobec ich roszczeń, inni oglądają się na oparcie w sąsiedniem 60 miljonowem państwie. Co do tego ostatniego punktu uznać należy, że Czesi także, choć nie wszyscy, zajmują poniekąd analogiczne stanowisko. Nie zależy mi tak dalece na ratowaniu

i uzdrowieniu obecnych stosunków, bo myślą, że przy tem mogą tylko coś zyskać i urzeczywistnić swe prawno-polityczne dążenia. Polacy mają inne stanowisko. Polakom zależy na utrzymaniu siły i potęgi państwa, ładu i porządku w jego organizmie i jego funkcyach. Polacy stanowili w parlamencie partyą państwową i to nie ze względu na jakieś efemeryczne aspiracye z dziedziny zagranicznej polityki lub na wypadek wstrząśnień europejskich, ale ze względu na nasze wewnętrzne położenie w państwie, na potrzeby i interesy naszego kraju. Galicya nie potrzebuje odnowienia ugody z Węgrami, unia cłowa może być dla niej nawet niekorzystną, a jednakowoż Polacy walczyli dnie i noce całe podczas ubiegłej sesyi za ugodą jedynie ze stanowiska interesów państwa. W tem, że Koło polskie broni najsilniej ze wszystkich stronnictw interesów państwowych i dynastycznych zawarty jest rozum polityczny Koła polskiego, który stanowi niepoślednią siłę naszą i zapewnia nam stanowisko w parlamencie. Podczas gdy Niemcy mają ogromną przewagę liczebną, bogactwo ekonomiczne, kulturę w szerokich warstwach ludności, wszystkie ważniejsze posterunki w swych rękach w urzędach i wojsku, tradycye rządzenia w Austryi i to, że stali u kolebki jej rozwoju i jej konstytucyjnych urządzeń, podczas, gdy Czesi mają za sobą nieprzeparty impet młodości i ruchliwości, a zarazem także wielkie ekonomiczne bogactwo, i to stanowi siłę tych dwóch narodowości w państwie, nasz wpływ i nasze stanowisko zapewnia nam przeważnie polityka Koła polskiego w parlamencie, zapewnia to, że z taką poważną partyą, *o ile parlament istnieje*, każdy rząd i wszystkie decydujące czynniki liczyć się muszą. Nie należy jednak bynajmniej dążyć do dominującego stanowiska w państwie, bo to budzi ogólną zazdrość, jak o tem zresztą niedawne doświadczenia świadczą, ale trzeba się starać o uzdrowienie parlamentaryzmu, w tej lub innej formie, bo tym sposobem mamy zapewniony wpływ i stanowisko z którem się wszyscy liczyć muszą.

My jednakowoż sami jedni w obronie interesów państwa jego znaczenia i siły walczyć nie możemy, ażeby ta walka była skuteczną. Muszą się znaleść inne czynniki, któreby z nami taksamo walczyły, przedewszystkiem rząd musi z całą stanowczością przestrzegać porządku i poszanowania prawa, bezpieczeństwa i znaczenia państwa, a także i inni sprzymierzeńcy. Kiedy podstawy bytu państwowego i społecznego porządku są zagrożone, można żądać od sprzymierzeńców, aby wszelkie dalsze, własne i partyjne cele chwilowo odsunęli na bok, i stanęli pod sztandarem interesu tego państwa, które zabezpiecza byt i przyszłość rozmaitym indywidualnościom narodowym i historycznym. W ten sposób najlepiej służyć będą własnej i narodowej sprawie.

Z tego co się wyżej powiedziało wynika, że trzeba przedewszystkiem główny punkt zaczepienia dzisiejszych walk parlamentarnych przenieść na inny teren, na którym się właściwie istotna walka toczy; trzeba zdemaskować pozory haseł walki rzekomo przeciw niemieckości prowadzonej. Potrzeba unikać wszystkiego, coby fatalnością położenia popychało i zaogniało w tym kierunku walkę jakoby ona była przeciw Niemcom wymierzona. Tem zaś jest rzucone i wymyślone przez samych radykalnych Niemców hasło do walki Słowian przeciwko Niemcom. Oni się tego środka chwytają, aby utrzymać obstrukcyę, podniecać namiętności, a właściwie szerzyć radykalizm i walkę antypaństwową, nibyto w obronie niemieckiego ludu. Skoro walka *de facto* jest antypaństwową i antyspołeczną, powinna być na ten ściśle państwowy, polityczny i społeczny grunt sprowadzoną, a na tym gruncie może być łatwiej rozstrzygniętą i wygraną. Polacy nigdy nie prowadzili walki z Niemcami jako takimi w Austryi, walczyli w parlamencie z centralistami, a później z liberalną partyą, jako przeciwnikiem i rywalem w izbie, ale byli zawsze w najlepszej przyjaźni z autonomistami niemieckimi, katolikami i konserwatystami klubu Hohenwarta. Austrya nie jest państwem ani niemieckiem, ani czysto słowiańskiem. Polacy też nie stali nigdy wyłącznie na stanowisku czysto rasowem słowiańskiem, ale na własnym narodowem i na austryackiem. Względy polityczne, względy na interes narodowy na interesy państwa, względy na dynastyę od tego wstrzymywały. Polacy popierali i będą popierać zawsze dążenia swych pobratymców do równouprawnienia i kulturnego rozwoju, nie opuszczą ich z pewnością, gdy będzie chodzić o zasady słuszności i sprawiedliwości, a czynić to będą nietylko ze względu na niewzruszone zasady etyczne, będące podwaliną naszej polityki, ale i ze względu na własny narodowy interes i chęć polepszenia stosunków polsko-rosyjskich. To jest jednak dalekiem od tego, abyśmy w parlamencie i państwie austryackiem porzucali dotychczasowe polityczne stanowisko i podstawy działalności i przerzucali się na hazardowne pole rasowej wspólności, która będzie miała taki tylko rezultat, że państwo toczyć i rozkładać będzie wielko-niemiecki radykalizm, a nas we wszystkich prowincyach po kolei podkopywać będzie mało-słowiański radykalizm na temat plemienno-ludowy, póki to nie utonie w »wielko« słowiańskiej agitacyi.

Czesi należąc do większości rządzącej w ciągu krótkiego czasu ogromnie dojrzeli politycznie i wyrobili się. Ale o tem nie trzeba zapominać, że ruch ludowy czeski był raczej ruchem ludowym XIX wieku, przebudzeniem się rasowego antagonizmu, niż narodowym i historycznym ruchem. Każdy Czech jest niemal pierwej Słowianinem, a potem Czechem (co u nas jest wprost przeciwnie) i teraz dopiero, kiedy ten ruch doszedł do siły, znaczenia i rozwoju, zaczyna nabierać wybitnie indywidualistyczny narodowy charakter i nawięzywać nici za wpływem rozumnych patryotów i szlachty czeskiej do tradycyi przeszłości i historyi i w tem zyskuje tem większą siłę rozwoju. Ale tam jest wiele ludowo-sławiańskiego radykalizmu na tle rasowego szowinizmu, wśród gorętszych i skrajnych żywiołów, które tylko w kierunku walki i agitacyi nacisk wywierają. Dlatego trzeba linię demarkacyjną zaznaczyć, trzeba, aby ze strony naszych sprzymierzeńców starano się unikać wszystkiego, co Niemców niepotrzebnie straszy i co ich wszystkich pod jedną komendę łączy. Do takich rzeczy należą aspiracye niestety zbyt często i głośno powtarzane, »aby Wiedeń uczynić słowiańskiem miastem« lub różne czysto niemieckie okręgi slawizować. Wzajemne ścieranie się, a nawet wypieranie tych dwóch żywiołów będzie się dalej w życiu toczyć, ale o ile możności tego należy oszczędzić, aby hasła walki były rozniecane w taki sposób, żeby zagłuszały wszystko inne i wyłącznie zawładnęły parlamentem.

Pokój narodowy leży w interesie ludności słowiańskich, dla łatwo zrozumiałych względów i jest także w interesie państwa austryackiego. Nie trzeba zapominać o tem, że radykalni i szowiniści niestety niczego nie pragną, jak tylko właśnie takiego podziału stronnictw w izbie, aby po jednej stronie byli sami Słowianie, a po drugiej wszyscy Niemcy, że oni sami wymyślili i rzucili hasło solidarności rasowej i walki rasowej. Tymczasem podział taki byłby podzieleniem monarchii i tak już rozdzielonej na dwie części, na dalsze dwie połowy, spro-

wadziłby na długi czas zastój państwowego rozwoju, siły i porządku, w parlamencie stworzyłby epokę długiej, niekończącej się walki bez wyjścia, w której ostateczny koniec czy rozstrzygnięcie bardziej stanowcze dopiero po kilkunastu lub kilkudziesięciu latach mogłoby nastąpić. Z tego trzęsawiska, w którem dzisiaj stoimy, nie zdołalibyśmy się wydobyć, aż gdzieś może po jakich 20 latach, lub rząd musiałby szukać pacyfikacyi w państwie i porządku tylko za pomocą zawieszenia konstytucyi. Gdyby zaś parlament miał istnieć podzielony na dwie równoważące się grupy stronnictw rasowych, natenczas wynikałyby jeszcze i te złe strony, że języczkiem u wagi wśród dwóch tak wielkich i potężnych, liczbowo niemal równych obozów, byłyby maleńkie grupy narodowościowe Rumunów czy Włochów, co już samo przez się stwarzałoby niezdrowe i anormalne stosunki. Zachodziłaby wreszcie obawa, że wśród ciągłej walki na tle szowinizmu i radykalizmu pozornie narodowego, wśród jałowej walki bez warunków powodzenia i zwycięstwa dla żadnej strony, wskutek osłabienia i rozkładu państwowego, wskutek ciągle podniecanych namiętności ludności i skrajnej agitacyi, korzyści walki osiągaliby, jak dotychczas, jedynie ci, którzy zasad narodowych nie uznają, i że socyaliści ostatecznie wszędzie, tak w jednym jak i drugim obozie, zbieraliby najobfitsze żniwo.

Koło polskie może stać tylko na gruncie narodowym i autonomicznym, wierne swym tradycyom, zgodne z adresem Sejmu.

P. G.

PANSTWO PRZYSZŁOŚCI.

(Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 10 »Ruchu Społecznego«).

Charakterystycznym rysem poglądów politycznych Renarda jest ich federalistyczne zabarwienie, obecnie we Francyi jest modną krytyka Napoleońskiej, centralistycznej administracyi; autor popiera myśl rozszerzenia zakresu działania gmin np. proponuje gminom powierzyć zarząd policyi, przypomina to trochę t. zw. socyalizm municypalny Fabianów.

System organizacyi ekonomicznej, zalecany przez Renarda jest rodzajem kolektywizmu połowicznego; właścicielem ziemi, oraz innych środków produkcyi będzie »naród« — powiedzmy ściślej: państwo. Mimo tego władze państwowe nie biorą na siebie obowiązku zajmowania się całą produkcyą, jak to dzieje się u Bebla i w każdym innym prawowiernym systemie kolektywizmu. Naród zapomocą głosowania powszechnego orzeka, co należy uważać za niezbędne potrzeby społeczeństwa i jednostki; wytwarzania środków celem zaspokojenia tych potrzeb podjąć się mają władze państwowe. W tym celu tworzy Renard przedewszystkiem przymusowe korporacye zawodowe; nie znajdujemy wprawdzie wyrażenia: »przymusowe« w książce, która leży przedemną — utopiści współcześni, gdy stawiają program reform komunistycznych, gdy czują potrzebę zwiększenia atrybucyi związków społecznych, unikają starannie, jak już wspomniałem, wyrażeń, mogących wywołać w umyśle czytelnika przypomnienie drogą analogii szczegółów dzisiejszej organizacyi państwowej; wykreślają ze swego słownika wyraz państwo (Marksyści wierni swym międzynarodowym tendencyom używają chętnie słowa: społeczeństwo, frakcya Renarda akcentuje silniej moment narodowy — toteż Renard nie znosi wojska i używa słowa naród), rządy nad ludźmi chcą zastąpić administracyą rzeczy, jak gdyby można zarządzać rzeczami bez pośrednictwa ludzi, ale ostatecznie słowa: »*d'abord chaque adulte devra s'inscrire dans un corps de métier*« (str. 143), nie są niczem innem, jak zapowiedzią przymusowej korporacyi zawodowej, pociesza nas wprawdzie autor przyrzeczeniem wolności wybierania sobie zawodu, każdego czasu można wystąpić z dawnej, zapisać się do nowej korporacyi, cóż z tego jednak, gdy autor na jednej z następnych stron cofa swą obietnicę. Przyznaje, że mogą zdarzyć się wypadki, w których do spełnienia pewnej pracy państwo odkomenderuje poddanych; jest rzeczą oczywistą, że w systemie kolektywistycznej produkcyi nie znajdą się ochotnicy do robót ciężkich, np. gotów się nikt nie wpisać do korporacyi kanalarzy, w tych wypadkach tak Renard, jak Bebel i inni pisarze socyalistyczni, nie mogą uniknąć odwołania się do przymusu państwowego, chodzi tylko o ilościowe oznaczenie tych wypadków. Czy rzeczywiście będą one wyjątkami, jak tego chcą wyż wymienieni reformatorowie?

Zależeć to będzie w znacznej mierze od jakości administracyi w kolektywistycznym ustroju, otóż pod tym względem plany Renarda zawierają w sobie dużo niepokojącego; autor zadowalnia się rozwiązaniem kwestyi w sześciu wierszach; zapowiada, że korporacye zawodowe same sobie nadadzą regulamin, wybiorą dyrektorów, przodowników i wszelkich innych funkcyonaryuszów; (czy dożywotnio?) z poprzedniego wnosząc zapewne powszechne głosowanie, którego gorącym obrońcą jest Renard, będzie systemem wyborczym. Nie mogę nabrać przekonania, by w ten sposób stanęli na czele korporacyi najbardziej uzdolnieni do kierowania nimi. Te ustępy książki Bebla, w których głośny agitator proponuje podobną organizacyę poszczególnych działów produkcyi, stały się przedmiotem ostrej krytyki — nie zrobiła ona znać żadnego wrażenia na profesorze lozańskiego uniwersytetu, nie rozprawia się z nią całkiem.

Statystycy państwa przyszłości będą mieli nie lada zadanie do rozwiązania. Przedewszystkiem trzeba będzie z góry obliczyć na cały rok zapotrzebowanie wszystkich członków społeczeństwa, oznaczyć ile towarów dostarczyć ma każda korporacya zawodowa (przeprowadzenie podziału na korporacye także nie jest łatwe), ile godzin czasu będzie w tym celu zużyć musiała. Znając ilość robotników można będzie obliczyć, ile na każdego z nich wypadnie godzin rocznej pracy. Przeciętna ta będzie miała znaczenie tylko teoretyczne, gdyż, ponieważ wpis do korporacyi niema charakteru przymusowego, przeto nie wpisze się do niej tylu robotników, ilu znalazłoby w niej pomieszczenie biorąc za podstawę przeciętną wyż rzeczoną, a liczba godzin pracy w poszczególnych korporacyach będzie bardzo rozmaitą w miarę zgłaszania się kandydatów. Oczywistą jest zatem rzeczą, że z zawodów uciążliwych o wielkiej ilości godzin pracy ludzie zaczną się przenosić do lżejszych; tylko sztucznie możnaby utrzymać równowagę.

Chcąc uniknąć konieczności użycia przymusu w oznaczaniu zawodu, Renard nie wprowadza zasady równego wynagradzania godziny pracy. Miernikiem wartości jest dla niego przeciętna godzina pracy.

Jeżeli w danej korporacyi przypada 4500 godzin na jednego robotnika, podczas gdy ogólna znana nam już przeciętna wynosi 1500, wówczas godzina pracy tej korporacyi przedstawia potrójną wartość godziny przeciętnej, odwrotnie, jeżeli trzeba tylko 500 godzin, wówczas godzina ta przedstawia tylko $^1/_3$ wartości godziny przeciętnej. W ten sposób Renard spodziewa się płacąc lepiej za pracę w trudnych zawodach, uniknąć używania przymusu.

Czy jednak obliczenia statystyków nie okażą się mylnemi?

Zależeć to będzie od intenzywności pracy robotników, zatrudnionych w państwie przyszłości, obecnie potężny nacisk interesu egoistycznego zapewnia społeczeństwu pewną przeciętną wydatność pracy, którą statystycy będą musieli wziąć za podstawę swych obliczeń ilości godzin pracy, potrzebnej w kolektywistycznym ustroju produkcyi. Czy jednak ta podstawa nie ulegnie zmianie i to zupełnie nieobliczalnej?

Najlepszym jednak jest karnecik zapożyczony prawdopodobnie od Solvaya i innych teoretyków »*du comptabilisme social*«, który Renard ofiarowywuje każdemu robotnikowi swego państwa przyszłości, jedna strona zawierać będzie wszystkie dochody (przekazy odpowiadające godzinom pracy) i rozchody — obecnie podatek osobisto-dochodowy wywołuje skargi, jako zbyt wkraczający w szczegóły życia prywatnego, ależ to raj w porównaniu z obowiązkiem publicznego wyrachowania się z każdego centa. Karnecik ten jest jednym z kółek w mechanizmie rozdziału dochodu społecznego. Kwestya ta jest zupełnie niejasno przedstawioną w pracy Renarda. Rola karnecika jest całkiem niezrozumiałą; autor zapewnia nas, że każdemu będzie się płaciło przekazami społecznymi w miarę jego pracy, gdyż nie można wobec daleko posuniętego podziału pracy dawać każdemu to, co wytworzył; dziś idzie się do sklepu i kupuje się szczotkę za 20 ct., a w państwie przyszłości wymienię w magazynie państwowym przekaz opiewający na $^1/_3$ godziny pracy za ową szczotkę, jeżeli jej wartość oznaczyli statystycy na tę kwotę.

Poco tu karnecika, tego niewiem. Za godzinę pracy nie można płacić pełną godziną, lecz tylko jej ułamkiem, część wytworów trzeba przecie zużyć, jak sam autor podnosi na utrzymanie przy życiu starców, dzieci kalek, na tworzenie zapasów, na inwestycye, odnawianie kapitału, opłatę ludzi, produkujących niemateryalne dobra, np. ludzi i t. d. Tu znowu statystycy będą mieli kłopot. Po drugie — podstawą całego rachunku jest przeciętna godzina pracy społecznie potrzebnej do wytworzenia pewnej ilości wytworów. Już wspomniałem, że podstawa ta ulegnie prawdopodobnie zmianie, trzeba będzie koniecznie utanowić jakieś kryterya pracy przeciętnej, społecznie potrzebnej, słowem trzeba powrócić do pewnego rodzaju pracy na akord. «Co do reszty szczegółów drugorzędnych mechanizmu wymiany, ta z pomocą pewnej dozy wyobraźni może łatwo sobie przedstawić ich działalność«.

Wszystko to jednak tyczy się tylko dóbr niezbędnie potrzebnych. Jest jednak przecie jeszcze szereg innych potrzeb, nieuznanych za niezbędne przez powszechne głosowanie, co do których »opuszczamy królestwo przymusu i wracamy do zasady wolności«. Odnośnie do tych wypadków społeczeństwo ogranicza się do roli pośrednika między spożywcą, a wytwórcą. Autor przywraca więc w pewnym zakresie system kapitalistyczny, zapomniał jednak, że poprzednio przelał prawo własności wszystkich środków produkcyi na państwo. Na jakich podstawach będzie się jednym dawało narzędzia produkcyi, a innym nie?

Co do wymiany międzynarodowej »zapewnia nas Renard«, że regułą będzie zrównanie dowozu z wywozem, jak? — należy zapewne do środków drugorzędnych.

System ekonomiczny Renarda jest sprzeczny z jego wywodami politycznymi, cofa nam wolność w nich zawartą; jest przedewszystkiem niejasny i nie kompletny, polemika z nim nie doprowadziłaby do celu, gdyż autor sam sobie nie zdaje sprawy z mechanizmu wymiany w swoim państwie przyszłości, opartego zresztą na nadziei zwiększenia się ogromnej wydajności pracy pod rządami kolektywistycznymi.

IV.

Telegram rozniósł przed kilku dniami wiadomość o śmierci Edwarda Bellamy. Utopia, własność intelektualna niegdyś bardzo szczupłego grona ludzi, obecnie stała się dorobkiem umysłowym szerokich warstw ludności, zdobywając sobie uznanie szczególniej wśród tysiącznych rzesz robotników fabrycznych. Niemcy zawdzięczają to zdemokratyzowanie utopii z przyprawą kolektywizmu blisko trzydziestu wydaniom i kilkunastu tłómaczeniom książki Bebla; w świecie anglo-saksońskim Bellamy podjął się zadania rozwodnienia myśli Platona i Morusa z domieszką kolektywizmu Marxa dla użytku szerokich warstw.

»Looking Backward« rozeszło się w setkach tysięcy egzemplarzy, po niemiecku ukazał się dalszy ciąg tej utopii, której autor starał się wykazać, że system Bellamyego jest uciemiężeniem wolności jednostek i przepowiadał mu rozbicie się pod wpływem indywidualistycznych prądów. Morris, znany poeta angielski, napisał rodzaj odpowiedzi »*The News from Nowhere*«, kasarnianemu, szablonowemu systemowi Bellamyego przeciwstawia utopie, w której etyka i swoboda jednostek odgrywają wielką rolę. W roku zeszłym wyszedł autentyczny dalszy ciąg »Looking Backward« [1]), który również doznał olbrzymiego powodzenia. Jeden z moich znajomych po powrocie z Ameryki opowiadał mi, że »Equality« i »Quo Vadis« są dziś najbardziej pokupnymi książkami w Ameryce, handlują nimi na wielką skalę nawet w pociągach.

Krytyka istniejącego stanu rzeczy, jest zazwyczaj lepszą połową każdej utopii. »Looking Backward« nie stanowi wyjątku od tej reguły. Jest tam zaraz na początku w pierwszym rozdziale porównanie społeczeństwa z powozem, na koźle siedzi głód, bogaci zajęli miejsca w powozie, a ubodzy są zwierzętami pociągowymi — obraz jeśli niekoniecznie prawdziwy, to w każdym razie silny i efektowny. Gdym tę książkę czytał, ustęp ten wydał mi się najbardziej uwagi godnym z całego dzieła. Nie mogę powiedzieć, bym znalazł lepszy w »Equality«. Ostatnia praca Bellamyego zasługuje niewątpliwie na uwagę, jako rozsadnik pewnych idei, jako uprzystępnienie wielkiemu kołu myśli, znanych nam już z innych źródeł; nie przedstawia jednak samo dzielnego

---

[1]) Equality. London. William Heinemann 1897.

interesu naukowego, jest rozszerzeniem pierwszej utopii, która także nie grzeszyła zbytkiem oryginalności.

Sprzeczność pomiędzy równouprawnieniem teoretycznem w odniesieniu do praw politycznych, a głęboką nierównością ekonomicznych warunków rozwoju zatruwa współczesne życie społeczne; zadaniem przyszłości tę sprzeczność usunąć, a ponieważ zasada równości musi i powinna wyjść z tej walki zwycięsko, przeto równość ekonomiczna staje się hasłem i tytułem książki Bellamyego. Środkiem do celu kolektywizm; jestto system »*aiming to establish and perpetuate a more perfect degree of equality, intellectual as well as material, than had ever been known*« (str. 361). Zapowiedź umysłowej równości podziała zapewne odstraszająco na niejednego z czytelników, autor oczywiście miał na myśli podniesienie się dotyczas umysłowo upośledzonych pod wpływem lepszych materyalnych warunków bytu do poziomu inteligencyi warstw niższych, przeciwnicy utopii spodziewać się raczej będą zrównania ku dołowi.

Pod wpływem krytyki, wywołanych poprzednią książką, autor poświęcił więcej miejsca okresowi przejściowemu.

Symbolem przejścia do kolektywizmu jest spalenie akcyi i wszelkich innych papierów wartościowych; dziwnym zbiegiem okoliczności scena podobnego rodzaju (zakopanie pieniędzy) jest punktem wyjścia parodyi Pagata, którą się obecnie zajmiemy.

V.

Rokrocznie wzrasta liczba książek, które w formie powieści starają się pozyskać umysły ludzkości dla radykalnej reformy całości stosunków społecznych; nic więc dziwnego, że reakcya posługiwać się zaczęła tą samą bronią, obrońcy współczesnego porządku socyalnego, niewierzący w możliwość urzeczywistnienia tych dla wielu ponętnych planów lub obawiając się gwałtownego zatamowania rozwoju cywilizacyjnego w razie, gdyby utopie przybierać poczęły konkretne kształty, wymarzone przez ich twórców, starali się przedstawić czytelnikom w powieściowej formie wyniki prób w tym kierunku.

Powtarzającym się tłem prawie we wszystkich utworach tej kategoryi jest reakcya indywidualistyczna przeciwko uciskowi, towarzyszącemu wprowadzeniu kolektywistycznego ustroju produkcyi; ciekawym dowodem, jak dalece utopia w fazie właściwej Marxyzmowi stała się panującą, jest właśnie to, że reakcya zwraca się przeważnie przeciwko temu odcieniowi. W pismach anarchistycznych często także spotyka się przewidywanie zwycięztwa kolektywizmu; socyalizm autorytetu będzie jednak także tylko przejściowem stadyum w pochodzie człowieczeństwa, po jego przeżyciu dopiero zaświeci dla ludzkości słońce anarchii. Wspólne obu tym poglądom jest pojmowanie kolektywizmu jako systemu w wysokim stopniu antiindywidualistycznego, wywołującego zatem reakcyę w imię skrępowanej wolności jednostek; odmienne jednak są zapatrywania na przebieg i następstwa tak pojętej reakcyi, co dla jednych jest słońcem anarchii, drugim wydaje się aktem bezprawia, rządami ślepych sił fizycznych, niekrępowanych przepisami kodeksu.

Najgłówniejszym przykładem utworów tego rodzaju jest znana broszura posła do niemieckiego parlamentu Eugeniusza Richtera, pomyślana jako odpowiedź na książkę Bebla: »*Der Socialismus und die Frau*«, a która doczekała się licznych wydań i przeróbki dyalogowanej w języku francuskim, dokonanej niedawno przez markiza *de Castellane*. W ślady Richtera wstąpił także i Henri Pagat [1]) z książką, poświęconą pamięci Alfonsa Daudeta, a która doczekała się już drugiego wydania.

Ktoś powiedział o demokracyach, że są arystokracyą mowców — dodałbym ludowych. Betson ma piękny głos, ładną brodę, ujmujące maniery, dużo ambicyi i chęci używania, zaczyna jako dziennikarz, miasteczko Micropolis wybiera go deputowanym, robi wielki majątek na karyerze politycznej, zdobywa sobie popularność jako leader modnego obozu kolektywistycznego. Pod naciskiem radykalniejszych, młodszych kolegów przystępuje niechętnie po dłuższym zwlekaniu do urzeczywistnienia swego programu, korzystając z większości parlamentarnej, którą już od dawna rozporządza, nie zdając sobie zupełnie sprawy z następstw swego kroku.

Państwo obejmuje własność ziemi i wszystkich innych środków produkcyi, podejmuje się żywić i ubierać obywateli, w zamian zato żąda od nich sześciu godzin dziennej pracy. Obieg pieniężny przestaje istnieć, celem uczczenia kolektywizmu urządzają władze państwowe święto zakopania pieniędzy *(les funérailles de l'argent)*, domy obłąkanych przejmują na siebie funkcye więzień w myśl znanych nowszych teoryi kryminalistycznych. Wnet jednak okazuje się, że państwo nie jest w stanie wypełnić swoich zobowiązań wobec obywateli, gdyż dla pokrycia ich potrzeb nie wystarcza praca społeczeństwa przez nich zaofiarowana. Rząd ogłasza więc rozporządzenie, wedle którego oddziały żołnierzy nadzorować mają pracujących, by ewentualnie na żądanie kierowników, przymusem opornych do pracy zachęcić, równocześnie zwiększono liczbę godzin pracy; a ponieważ okazało się, że wielu leniwych chroniło się do szpitali i domów obłąkanych, gdzie im dawano tesame wygody, co innym obywatelom, przeto zarządzono przymusową pracę w domach obłąkanych, oraz zmniejszono ich mieszkańcom porcye dzienne. Wreszcie nakazano odkopać pieniądze celem zakupna niezbędnych środków żywności zagranicą.

Wynikiem rozporządzenia wysadzenie w powietrze przez anarchistów melinitem gmachu parlamentu w Babylywii, powszechny bezrząd, motłoch uliczny rabuje i t. d. Ci, co nie lubią łowić ryb w mętnej wodzie uciekają za granicę.

Kanwą powieściową są losy miłości Wilhelma, syna Betsona, zakochanego w jednej z uroczych cór miasteczka Micropolis. Miłość jest dla niego źródłem rozczarowania się do systemu kolektywistycznego. Wilhelm jest w przeciwstawieniu do ojca wierzącym kolektywistą. Mimo swego gorącego zapału, wiary w nowy ustrój społeczny, nie jest w stanie wlać swe uczucia w dusze swych współobywateli. Narzeczona jego omal nie staje się ofiarą zgwałcenia pod wpływem rozluźnienia obyczajowego, wywołanego nowymi rządami, co naturalnie osłabia jego wiarę w kolektywizm, mimo opozycyi Wilhelma wpływ anarchisty Ravachuta i jego popleczników wzrasta z dnia na dzień, aż wreszcie zwycięża drogą rewolucyi w dniu ogłoszenia znanych nam już obostrzeń.

Postać Ravachuta jest jedną z najcharakterystyczniejszych w całej książce; poznajemy go w pierwszych rozdziałach, jako służącego w domu Betsona, którego polityczna demokracya łączy się w praktyce w życiu

[1]) Les funérailles de l'argent. Hypothèse. Deuxième édition. Paris Paul Ollendorf 1897

domowem z wymaganiami wielkiego pana, otoczonego liczną służbą. Pyszne są sceny między nim, a jego dawnym panem, w których Betson zapoznaje się w sposób dla niego bardzo przykry z praktycznymi skutkami równości w kolektywistycznym ustroju. Brak służby daje mu się dotkliwie we znaki. Ravachut pod płaszczykiem anarchii ukrywa, podobnie zresztą, jak jego dawny pan, chęć użycia cudzym kosztem. Toteż wytrwale zachęca swym przykładem i namową do uchylania się od pracy. Motywem jego działania jest także mściwość, jest rzeczą naturalną, że nie mile wspomina despotyczne przyzwyczajenia Betsona, sprawia mu tedy przyjemność pokrzyżować jego plany.

Dobrym jest także wynalazca Mangin; w systemie kapitalistycznym Szczepanik dzięki finansowej pomocy bankiera Kleinbergera potrafił pchnąć naprzód ludzkość uzyskawszy w ten sposób pieniądze potrzebne na doświadczenia. Mangin jest wynalazcą, który z powodu zmiany systemu traci pomoc swego bankiera Fausta i przestaje być użytecznym ludzkości. W. H. Mallock wykazuje, jak już wspomniałem, że system kolektywistyczny nie potrafi dostatecznie wynagrodzić wynalazców — zarzut ze wszech miar, moim zdaniem, uzasadniony.

Obraz uprawy pola buraków jest satyrą ostrą, ale prawdziwą; przykład Ravachuta skłania część robotników do usadowienia się w cieniu drzew, inni padają pod ciężarem pracy, do której nie przywykli, pozostaje wreszcie przy pracy robotnik fabryczny, gorący zelota kolektywizmu znany agitator, poczuwający się do obowiązku, przyświecania innym swoim przykładem niestety niewprawny w pracy tego rodzaju, wykonuje ją zupełnie fałszywie. Kazania Betsona o obowiązku pracowania dla dobra społeczeństwa nie wywierają żadnego wpływu na egoistyczne popędy znacznej większości.

Inne ustępy opowiadania i dyalogu (autor używa obu tych form), są wprawdzie równie ostrą parodyą kolektywistycznych utopii ale o wielu z nich nie można powiedzieć, że odznaczają się równą dozą prawdopodobieństwa. Niebezpieczeństwo karykatury, którego nie potrafiły uniknąć wszystkie dzieła naukowe, zajmujące się socyalizmem, jest z natury rzeczy znacznie większe wrazie używania formy, sprzecznej w pewnej mierze z wymogami ścisłości naukowej.

Autor zwalcza właściwie system kolektywistycznej produkcyi tylko jednym argumentem, stara się podnieść te niedostatki natury ludzkiej, które uniewożliwiłyby jego zdaniem ewentualne funkcyonowanie tego systemu. Tak jak nie można stawiać domu z materyałów niedostępnych dla nas, n. p. znajdujących się na księżycu, tak też nie można konstruować społeczeństwa, biorąc za podstawę czynniki psychologiczne, do których wyrobienia w sobie natura ludzka nie jest zdolną. Książka kończy się snem Wilhelma, który we śnie widzi doskonały ustrój społeczny, tajemnicą jego powodzenia jest zaprowadzenie go w chwili, gdy »pogrzebane złoto można było zastąpić cnotą«.

Innymi argumentami zwalcza Maurice Block dążenia komunistyczne na polu produkcyi ekonomicznej w rozprawce: »*Le budget de l'état collectiviste*« ogłoszonej w zeszłorocznym czerwcowym zeszycie »*Travaux de l'académie des sciences morales et politiques*«. Kładzie nacisk na techniczno-administracyjne trudności połączone z wprowadzeniem kolektywizmu, objaśniając swoje wywody przypuszczalnym wzrostem budżetu.

A. K.

W sprawie reformy aptekarstwa w Austryi.

(Odczyt wygłoszony w Klubie konserwatywnym dnia 26 maja 1898 r.).

Przypuszczam, że tytuł dzisiejszej pogadanki może niektórym Panom nasunąć zapytanie, dlaczego sprawę tak specyalną poruszam na zebraniu klubu, zamiast ją przedstawić w towarzystwie aptekarskiem lub lekarskiem, w każdym razie wobec jakiegoś grona, zostającego w związku z medycyną lub farmacyą. Okoliczności, które mię do tego kroku zachęciły, a nawet niejako upoważniły, są następujące. Na zebraniach naszego klubu, przynajmniej dotychczas, były poruszane i rozważane przeważnie kwestye ekonomiczne, mające znaczenie dla kraju, a w szczególności obchodzące ludność wiejską; z treści pogadanek, oraz z dyskusyj niewątpliwie każdy musiał wynieść to przekonanie, że wszystkie te kwestye, o ile dotyczyły dobrobytu ludu wiejskiego lub wogóle klasy pracującej, znajdowały zawsze szczere i rzetelne zainteresowanie. Otóż stykając się z ludnością biedniejszą, a wiejską w szczególności, nabrałem przekonania, że sprawa apteki, kwestya dostarczenia ludności tej leków, ma dla niej pewne ekonomiczne znaczenie, i że dzisiejsza organizacya aptekarstwa jest nietylko nie racyonalną, ale wprost dla ludności mniej zamożnej szkodliwą.

Nie potrzebuję chyba wobec Panów dowodzić, że pierwszym czynnikiem bogactwa kraju, jednym z najgłówniejszych elementów, jest uzdolnienie jego mieszkańców do użytecznej i wytrwałej pracy. Praca ta jest czynnikiem, bez którego nawet najlepiej od natury uposażony kraj pozostanie krajem ekonomicznie biednym. Nawet najbardziej obszerne zastosowanie maszyn i wszelkich sposobów wyzyskania sił natury pracy ludzkiej w zupełności nie zastąpi, a z wprowadzeniem tych rozmaitych środków zastępczych, zmienia się tylko ilość, rodzaj i jakość pracy, lecz o całkowitem jej wyeliminowaniu mowy być nie może.

Jeżeli więc w produkcyi bogactwa krajowego lub państwowego praca ludzka jest czynnikiem niezbędnym, to oczywiście państwo i z obowiązku i z interesu troszczyć się winno o to, ażeby uzdolnionych do pracy jednostek było jak najwięcej.

Jeżeli Panowie uważają za wskazane i stosowne troszczyć się o ludność pracującą i wprowadzać szereg reform, skierowanych ku temu, ażeby środki materyalne nawet najniższych warstw były wystarczające do opędzenia wszystkich potrzeb życia, to sądzę, że niemniej ważnym obowiązkiem będzie czuwać, ażeby warunki, wśród których żyją rozmaite warstwy ludności, sprzyjały zachowaniu dobrego stanu zdrowia. Tylko bowiem zdrowa jednostka wśród równych warunków może być czynnikiem dodatnim, czynnikiem produkcyjnym, słowem pożytecznym dla społeczeństwa. Że te pojęcia już do

pewnego stopnia rozpowszechniły się w państwach cywilizowanych, świadczy cały szereg ustaw sanitarnych, cały szereg instytucyj, których bezpośrednim obowiązkiem jest czuwanie nad tak zwaną hygieną publiczną.

Zresztą rzeczy te są powszechnie znane i dlatego nie zamierzam bynajmniej wyliczać tych wszystkich instytucyj, na które rozmaite państwa wkładają obowiązek czuwania nad zdrowiem swoich obywateli; pozwolę sobie uczynić tylko tę uwagę, że specyalnie w naszym kraju bardzo dużo urządzeń rzeczywiście pożytecznych istnieje tylko na papierze, że w wielu razach wykonywanie ustaw tej kategoryi bywa bardzo nieudolne (n. p. przestrzeganie czystości w miastach i miasteczkach), jednakże niewątpliwie pewien postęp w tym względzie i u nas zauważyć się daje.

Lecz i największa troskliwość o zdrowie publiczne i przestrzeganie przepisów sanitarnych, jakkolwiek niewątpliwie powstrzymują szerzenie się rozmaitych epidemij, zmiejszają śmiertelność i podnoszą przeciętny wiek obywateli, to jednakże nie są w stanie zapobiedz rozmaitym cierpieniom przypadkowym i dlatego w każdem społeczeństwie, w każdej danej chwili istnieje zawsze pewien procent ludzi chorych, niezdolnych do pracy, a nadto bardzo często uniemożliwiających pracę innych jednostek zdrowych. Wszystkie te jednostki chore, o ile były zdolne do pracy, i jednostki zdrowe, czuwające nad choremi, stanowią pewien minus w siłach produkcyjnych swego kraju.

Oczywiście, że interes państwa wymaga troszczyć się o to, ażeby okres choroby trwał jak najkrócej, ażeby więc ludność cała miała zapewnioną należytą pomoc lekarską, a w końcu, ażeby jak najmniejsza liczba zdrowych jednostek zajmowała się opieką nad chorymi.

Prawie z pewnością można twierdzić, że nie tyle z pobudek humanitarnych, które być może były czynnikiem pierwotnym, ile z poczucia tej potrzeby, być może nawet bezwiednego, wyłoniły się takie instytucye, jak szpitale publiczne, lekarze okręgowi, kasy chorych i t. p.

Gdyby rzeczywiście instytucye tego rodzaju były odpowiednio zorganizowane i istniały w odpowiedniej ilości, kwestya reformy aptekarstwa miałaby podrzędne znaczenie, lecz w rzeczywistości nietylko u nas, ale wogóle w całym świecie instytucye wymienione wyżej są jeszcze tylko w zawiązku, poczucie potrzeby racyonalnej organizacyi w tym względzie jeszcze nie uzyskało zupełnego prawa obywatelstwa, jeszcze wciąż możemy słyszeć zdania, iż wydatki na szpitale i lekarzy są ciężarami nieprodukcyjnymi. W ciałach ustawodawczych i u reprezentantów władzy, kierujących funduszami krajów, wciąż się ujawnia wyraźna chęć ograniczenia tych wydatków do minimum. Same te instytucye często nie wypełniają swoich zadań i zawodzą pokładane w nich nadzieje bądź z winy osób, bądź z winy nie odpowiedniej organizacyi, a następstwem tego jest, że tylko bardzo mała część ludności z tych instytucyj korzysta, i że cały ciężar opieki nad chorymi spada w rzeczywistości na jednostki prywatne, które nie zawsze, dzięki stosunkom ekonomicznym, mogą temu ciężarowi podołać. Że kraj ponosi z tego powodu wielkie straty, chociaż nie możemy ich ująć w cyfry, zdaje się nie ulegać wątpliwości, pomijam tu wszelkie wstrząśnienia i przykre przejścia moralne, gdy ta mniej zamożna ludność nie znajduje pomocy w cierpieniach swoich najbliższych i najdroższych osób.

Że potrzeby w tym względzie rzeczywiście istnieją i wciąż wzrastają, mamy dowód chociażby w sprawozdaniu z czynności departamentu V-go Wydziału krajowego za rok 1896. W sprawozdaniu tem wyraźnie powiedziano (str. 6), że szpitali u nas za mało i jako dowód przytoczono fakt, że w szpitalach prowincyonalnych średnia liczba leczonych dziennie jest większą, aniżeli liczba łóżek w tych samych szpitalach.

Pan Inspektor szpitali krajowych w swojem sprawozdaniu kilkakrotnie uskarża się na przepełnienie szpitali i podnosi potrzebę zakładania szpitali prowincyonalnych równorzędnie z zaprowadzeniem okręgów sanitarnych; na podstawie swoich spostrzeżeń twierdzi, że tylko pod tym warunkiem instytucya lekarzy okręgowych może okazać się pożyteczną.

Uważałem za stosowne zwrócić uwagę Panów na powyższe kwestye dlatego, że chcąc mówić o reformie aptekarstwa, nie dość jest mieć na względzie tylko braki ustawy wobec dzisiejszych stosunków, lecz trzeba się liczyć z ewentualnym i naturalnym rozwojem wszelkich instytucyj publicznych, mających na celu leczenie ludności; w przeciwnym razie każda reforma byłaby tylko czasową, chwilowo mogłaby usunąć pewne niedogodności, lecz bardzo prędko ujawniłyby się nowe, może nawet większe, tak że kwestya reformy pozostawałaby wciąż na porządku dziennym.

Po tych wstępnych uwagach możemy postawić sobie pytanie, na czem polegają głównie niedogodności i ujemne strony dzisiejszej organizacyi aptekarstwa?

Wadliwość dzisiejszej organizacyi aptekarstwa pochodzi głównie ztąd, że z jednej strony wskutek pewnego zagmatwania w ustawodawstwie, z drugiej wskutek pewnego rodzaju protegowania przez państwo tego zawodu, apteki stały się »rodzajem fideikomissów, albo tak zwanych ordynacyj, przechodzących z ojca na syna, wydzierżawianych i sprzedawanych« [1]). Ta okoliczność wraz z ograniczeniem liczby aptek spowodowały takie stosunki w aptekarstwie, że wszelkie środki, które za pośrednictwem apteki się nabywa, muszą być kilka lub kilkanaście razy droższe, niż są w rzeczywistości, i wskutek tego stają się niedostępne dla znacznej części ludności.

Podług obecnych ustaw apteki w Austryi dzielą się na następujące kategorye:

1) Apteki realne;

2) Apteki personalne;

3) Apteki domowe, szpitalne i filialne.

Apteki realne są własnością na równi z każdą inną, prawo ich nigdy nie wygasa, one się dzielą na dwie kategorye:

a) Realradizierte, stanowiące integralną część domu, są własnością hipoteczną, objęte księgami gruntowemi, reprezentują więc wartość hipoteczną i mogą być sprzedawane każdemu, kto życzy kupić.

b) Druga kategorya aptek realnych może być także przedmiotem sprzedaży, lecz tylko zawodowcom. Apteki tej kategoryi nie posiadają wartości hipotecznej.

Apteki personalne są otwierane na mocy osobistej koncesyi, którą rząd nadaje tylko ukwalifikowanemu i tylko na przeciąg jego życia. W myśl ustawy apteki takie nie mogą być dziedziczone ani sprzedawane.

Apteki personalne weszły w życie na mocy ustawy z dn. 9 grudnia 1824 r. i miały stopniowo doprowadzić do zaniku apteki pierwszych dwóch kategoryj. Na mocy dekretu nadwornego z dn. 27 listopada 1843 r. l. 707 ustawa o aptekach personalnych została rozszerzoną i na

[1]) Określenie podane w jednym z referatów odczytanych na zjeździe farmaceutów we Lwowie.

Galicyą. Od tego czasu w Galicyi miały istnieć tylko apteki personalne.

Najwyższe rozporządzenie z dn. 5 stycznia 1861 r. i ministeryalne z dn. 11 stycznia tegoż roku podporządkowuje apteki pod §§ 58 i 59 ustawy przemysłowej. W myśl tych paragrafów właściciel koncesyi na aptekę personalną uzyskuje prawo sprzedaży apteki na równi z każdym innym warsztatem i chociaż nabywca w myśl tego rozporządzenia, chcąc prowadzić interes, winien był postarać się o nową koncesyę, jednakże na mocy rozporządzenia ministeryalnego z dnia 2 marca 1883 r. l. 2954, nabywca uzyskiwał ten przywilej, że władza nie miała prawa odmówić mu koncesyi, o ile tenże był ukwalifikowanym farmaceutą. Skutkiem tego jeżeli aptekę nabywał od poprzedniego właściciela ukwalifikowany farmaceuta, to przez to samo niejako uzyskiwał koncesyę na aptekę personalną. Jasną jest rzeczą, że to późniejsze rozporządzenie, jakoteż kilka innych, zasadniczo zmieniły myśl pierwotnej ustawy, której celem było, jak zauważyliśmy wyżej, zastąpić apteki realne. Obecnie skutkiem rozporządzeń ministeryalnych wszystkie apteki stały się właściwie na nowo realnymi, w każdym razie w praktyce znikła zupełnie różnica między jedną i drugą kategoryą.

Jeżeli teraz uwzględnimy, że liczba koncesyj była i jest ograniczoną, że uzyskanie nowych koncesyj połączone jest dla kompetujących z wieloma trudnościami i zależy wprost od miejscowej władzy, która uważa niejako za swój obowiązek nie stwarzać niepotrzebnej konkurencyi, jeżeli uwzględnimy, że nowe apteki rzeczywiście powstawały w bardzo małej liczbie, to łatwo zrozumiemy, że wartość aptek musiała wciąż wzrastać i rzeczywiście obecnie w niektórych miastach Galicyi doszły one do ceny 50, 60 i wyżej tysięcy.

Oczywiście, że cena ta nie zostaje wcale w żadnym stosunku z wartością urządzenia apteki. Sami farmaceuci na wspomnianym wyżej zjeździe we Lwowie otwarcie mówią, że urządzenia te są wogóle liche, niekiedy wprost urągające wszelkim wymaganiom nauki, a mimo to za aptekę się płaci kolosalne pieniądze.

Z instytucyj więc, których zadaniem i celem było służyć społeczeństwu, w zamian za co państwo dawało opiekę i ochronę od konkurencyi, wytworzyły się instytucye podobne do innych przemysłowych przedsiębiorstw, wymagające wielkiego kapitału, w których społeczeństwo musi opłacać nietylko pracę i materyały, lecz także procenta od tego kapitału. Że tak jest, najlepiej o tem świadczą cyfry dzierżawy aptek, które znajdujemy w jednym z referatów, przedstawionych na I zjeździe farmaceutów we Lwowie:

Dwie apteki w Krakowie	po 6000	złr. każda.
Jedna w Wadowicach	za 4500	»
Jedna w Drohobyczu	» 3500	»
Druga tamże	» 3700	»
Jedna w Stryju	» 5500	»
Jedna w Stanisławowie	» 6000	»

Są także apteki, których dzierżawca figuruje jako zawiadowca i wypłaca właścicielowi od 3000 do 4000 i więcej.

Jasną jest rzeczą, że opłacając tak drogo prawo posiadania apteki obecni właściciele zmuszeni są nie szczędzić wszelkich usiłowań, ażeby przeszkodzić powstawaniu nowych aptek i rzeczywiście nie można powiedzieć, ażeby usiłowania te nie były skuteczne, a mianowicie w Galicyi.

Pomimo, że miasta nasze, szczególnie większe, coraz bardziej wzrastają, pomimo, że w wielu miejscowościach wsie przekształciły się obecnie w miasteczka, uzyskanie nowej koncesyi na aptekę należy do nadzwyczajnych wypadków. Tak n. p. w Krakowie i Lwowie pomimo, że ludność w ostatnich kilkunastu latach wzrosła co najmniej o połowę, pomimo, że powstały całe nowe dzielnice, od szeregu lat **nie otworzono ani jednej nowej apteki.** Pomimo ciągłego upominania się niektórych gmin i miasteczek, rząd nie pozwala na otwarcie aptek, nawet w takich, jak Kalwarya, Majdan i inne. Dlatego też na zeszłorocznym pierwszym zjeździe farmaceutów galicyjskich ze szczególnym naciskiem powstawano przeciw sposobowi nadawania nowych koncesyj, które to prawo na mocy orzeczenia najwyższego trybunału administracyjnego z 13 stycznia 1879 r. w zupełności przyznane zostało władzy administracyjnej.

Zasadnicza ustawa określa stosunek liczby aptek do liczby mieszkańców w ten sposób, że jedna apteka może przypadać na 3 do 4 tysięcy mieszkańców. W krajach, w których koncesye zostały dawno zniesione, rzeczywiście zachodzi mniej więcej ten stosunek. Jedna apteka przypada na 3 do 6 tysięcy mieszkańców. Przeciętny stosunek w Austryi: 1 apteka na 17000 mieszkańców, w Węgrzech na 11000 mieszkańców. W pojedynczych prowincyach austryackich stosunek ten jest bardzo zmienny i tak:

W Tyrolu	1	apteka	na	7046	mieszkańców
W Istryi	1	»	»	9700	»
W Dalmacyi	1	»	»	11720	»
W Austryi Górnej	1	»	»	13319	»
W Galicyi	1	»	»	25634	»

Jeżeli zaś wyłączymy Lwów i Kraków, to w samym kraju przypada jedna apteka na 28266 mieszk.

Z powyższego zestawienia wydawaćby się mogło, że posiadając kompletną władzę, rząd powinien byłby ze wszech miar protegować powstawanie nowych aptek, tem bardziej, jeżeli uwzględnimy stosunki przestrzenne, albowiem podczas gdy w Czechach na każde 100 km.² przypada jedna do dwóch aptek, w Galicyi mamy zaledwie 1 na 300 km.² Tymczasem w praktyce rzecz się ma odwrotnie. Na wspomnianym zjeździe farmaceutów w wielu przemówieniach uzyskanie nowej koncesyi dla ukwalifikowanego farmaceuty przedstawiano jako nową drogę krzyżową, pełną przeciwieństw, zawodów i rozmaitych przykrości. Konkluzyą ostateczną z powyższych przemówień jest, że dla uzyskania koncesyi nie istnieją żadne ściśle określone warunki, a natomiast potrzeba prywatnych starań i zabiegów, a przedewszystkiem protekcyi.

Że ukwalifikowani farmaceuci mimo tych wszystkich przykrości czynią usiłowania o uzyskanie koncesyi jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Uzyskanie koncesyi jest to wygranie wielkiego losu, jest to uzyskanie przywileju, który odrazu czyni człowieka posiadaczem pewnego kapitału, albowiem przywilej ten odrazu można spieniężyć nie wydawszy nawet jednego centa na urządzenie apteki.

Gdy z jednej strony nie szczędzą wszelkich zabiegów kandydaci do koncesyi, z drugiej każda nowa apteka jest bardzo przykrym konkurentem dla już istniejących aptek, albowiem już sam fakt powstania w danej miejscowości nowej apteki obniża tę fikcyjną wartość dawnych aptek, oczywiście więc, że nie z mniejszą gorliwością *beati possidentes* starają się przeszkodzić powstaniu swej konkurentki i używają wszelkich możliwych i niemożliwych środków, ażeby władzę od wydania koncesyi powstrzymać.

Według ustawy każdy z kompetentów do koncesyi winien się wykazać pewnym majątkiem, z tego też ty-

tułu przed władzą, jak podają członkowie pierwszego zjazdu farmacetów, odgrywa się najniemożliwszą komedyę, każdy z petentów w podaniu o koncesyę w liczbie motywów stara się przedewszystkiem w jak najjaskrawszem świetle przedstawić swoją biedę i swoje położenie, a w dołączonym akcie notaryalnym składa dowód posiadania kilku lub kilkunastu tysięcy majątku, który w dodatku bywa często tylko fikcyjnym. Przypuśćmy, że się podaje, co bywa, zwykle na jedne projektowaną koncesyę 30 kandydatów, to kapitał, wykazany przez petentów, wynosi nierzadko 200 i więcej tysięcy, już same stemple od rozmaitych aktów przenoszą zwykle kwotę tysiąca złr.

Teraz Panowie łatwo zrozumieją, że wszystkie utrudnienia i ograniczenia liczby koncesyj nie mogły nie wywołać tego haussa na giełdzie aptekarskiej już istniejących koncesyj tak, że obecnie, jak to wykazuje jeden z referentów przeszłorocznego zjazdu farmaceutów, wartość aptek w austryi dochodzi do poważnej kwoty 60 milionów, z czego na samą Galicyę przypada przeszło 10 milionów. Ten poważny kapitał, reprezentowany przez przywileje aptekarskie, rzeczywiście całym swoim ciężarem spada na ludność leczącą się prywatnie. Każdy z nas, płacąc za lekarstwo, wydane podług recepty w aptece, opłaca nietylko wartość lekarstwa, pracę aptekarza, koszta sporządzenia, opakowania etc., ale i tę część procentu od fikcyjnego kapitału, który w danej chwili reprezentują apteki na giełdzie.

Czyż takie zjawisko w zorganizowanem społeczeństwie można nazwać prawidłowem? Być może, że przynajmniej to opłacanie przywilejów daje chorym gwarancyę, że lekarstwa pod względem jakości i ilości są zawsze odpowiednie? Gdyby tak było, możnaby się jeszcze do pewnego stopnia z tą dopłatą zgodzić. Lecz niestety praktyka wykazuje i tu w Galicyi i w Rosyi, gdzie istnieją podobne stosunki, że przywileje, którymi państwo obdarza apteki, nie przynoszą i tej jedynej korzyści. Każdemu z Panów wiadomo, że apteki, podobnie jak i ludzie, mają swoją reputacyę, co oczywiście zależy tylko od sumienności i dokładności w ekspedycyi aptecznej. Że ten sam wynik można otrzymać i bez specyalnych przywilejów dla aptek, chyba może posłużyć za dowód fakt, że takie ograniczenie ilości aptek i koncesyonowanie istnieje obecnie tylko w Niemczech, Austryi i Rosyi. We Francyi, Włoszech, Belgii, Anglii, Hiszpanii, Grecyi, Turcyi i Ameryce monopol apteczny został zniesiony, aptekarze mają zupełną wolność osiedlania się, a mimo to nie zdarzyło mi się spotkać w literaturze lekarskiej agitacyi za wprowadzeniem naszych stosunków. Możnaby było sądzić, że ta wolność w zakresie aptekarstwa przedewszystkiem odbija się ujemnie na jakości lekarstw i sumienności aptekarzy. Lecz w rzeczywistości skargi, wytaczane przeciwko aptekarzom w tych państwach, nie są częstsze jak u nas. Jako środek przeciwko możliwym nadużyciom zastosowano tam z jednej strony wyższe wymagania pod względem wykształcenia naukowego i zawodowego aptekarzy, a następnie szereg ustaw, ściślej przestrzeganych, niż u nas, które normują zawód aptekarski w praktyce. Że przywileje aptekarskie same nie mogą wytworzyć idealnych stosunków, mamy niewątpliwy dowód na naszych aptekach. W tym względzie wystarczy powołać się tylko na zdania samych farmaceutów, wypowiadane w wielu przemówieniach na zjeździe we Lwowie: »Apteki nasze niejednokrotnie są jakby filiami szynków, że tu dotknę sprzedaży kropli na kieliszki, cząstkową sprzedaż na szklanki wody sodowej, co jest zupełnie niestosownem, bo stawia nas niejednokrotwie wobec stron w położeniu kelnerów płukających kieliszki i szklanki, a często daje powód do różnych nieprzyjemnych epizodów w aptece«. (str. 29 Sprawozdanie z pierwszego zjazdu farmaceutów galicyjskich we Lwowie).

Panowie ci jednak nie wspominają o wielu innych rzeczach, które się dzieją w aptekach, szczególnie prowincyonalnych, jak np. o ordynowaniu środków na poczekaniu, o sprzedaży rozmaitych specyfików itp. i inaczej być nie może. W państwach, gdzie istnieje wolność aptekarska, niewątpliwie wytwarza się walka o byt, konkurencya wobec wielkiej liczby aptek, ztąd oczywiście mogą się wyłaniać pewne nadużycia i niesumienność. U nas pomimo, że liczba aptek jest ograniczoną, to sama walka o byt musiała się zjawić z powodu, że w stosunku odwrotnym do liczby aptek one zostały obciążone pewnym kapitałem. Aptekarz mimo woli i chęci musi być spekulantem, ponieważ nietylko musi zapracować na utrzymanie siebie i rodziny, ale ma jeszcze do opłacenia procenta od kapitału, ciążącego na aptece, szczególnie, jeżeli posiada aptekę nie w drodze koncesyi osobistej.

To też z jednej strony panowie aptekarze narzekają wciąż na zły stan interesów i uczuwają pewien żal do społeczeństwa, że zamało się leczy, a do lekarzy, jeżeli tanie recepty zapisują, z drugiej niszczą się pomiędzy sobą »opuszczaniem procentów, obstawianiem się płatnymi faktorami, układają kartele względem dostaw środków leczniczych i t. p.« (loco cit.).

Względem lekarstw, objętych farmakopeą, istnieje, jak Panom wiadomo, obowiązkowa taksa aptekarska; proszę jednakże z jedną i tą samą receptą, odpisaną w kilku egzemplarzach, udać się do naszych aptek krakowskich, lub posłać do jednej z aptek prowincyonalnych, a niewątpliwie, mimo taksy, każda apteka inaczej obliczy należną kwotę i różnice te bywają niekiedy dość znaczne. W środkach zaś nie objętych farmakopeą istnieje najzupełniejsza dowolność. Widzimy więc, że te gwarancye, które rząd daje aptekarstwu, bynajmniej nie doprowadzają do celu, przeciwnie tylko im zawdzięczamy te, niemożliwie wysokie, ceny lekarstw.

Panowie farmaceuci, zebrani na zjeździe we Lwowie, wypowiadają przekonanie, że jedynym środkiem do poprawienia stosunków byłoby zaprowadzenie koncesyj osobistych i powiększenie liczby aptek na podobieństwo reformy, zaprowadzonej w Szwecyi, podają nawet szczegółowy projekt wykupna i amortyzacyi obecnie istniejących aptek, sądzą, że samo zaprowadzenie koncesyj osobistych musiałoby spowodować znaczne obniżenie taksy lekarskiej i że mimo powiększenia liczby aptek zawód ten jeszcze mógłby przynosić znaczne zyski.

Lecz we wszystkich przemówieniach i odczytach na owym zjeździe zanadto miano na względzie interes osobisty, zanadto wysuniętą została na pierwszy plan troska o farmaceutów kondycyonujących, z których się głównie zgromadzenie składało, natomiast prawie zupełnie nie zastanawiano się nad potrzebami społeczeństwa i nad wciąż zmieniającymi się stosunkami w medycynie, a właściwie w terapii. Reforma projektowana przez zjazd byłaby niewątpliwie krokiem ku lepszemu, być może rzeczywiście pociągnęłaby za sobą obniżenie taksy aptekarskiej, na razie kilku lub kilkudziesięciu nowych farmaceutów uzyskałoby koncesye, a to niewątpliwie poprawiłoby ich byt materyalny. Lecz liczba aptek i nadal zostałaby ograniczoną i organizacya wewnętrzna apteki pozostałaby tą samą, z czasem po uskutecznieniu wykupna dzisiejszych przywilejów zniknąłby kapitał obciąża-

jący apteki, lecz natomiast wytworzyłaby się większa konkurencya, tak że stosunki aptekarskie w gruncie rzeczy nie uległyby żadnej zasadniczej zmianie, reforma więc taka byłaby tylko półśrodkiem i nic więcej

Nie śmiem zatrzymywać uwagi Panów nad obecnem przeobrażeniem się pojęć w dziedzinie terapii. Wskażę tylko na znane wszystkim fakta, które świadczą, że zamiast używanych w ciągu tylu wieków środków symptomatycznych i rozmaitych paliatywów, medycyna współczesna wchodzi coraz bardziej na drogę leczenia przyczynowego, swoistego. Wszystkim Panom znane są szczepienia przeciw wściekliźnie, surowica antydyfterytyczna, antytetaniczna, używanie pewnych organów zwierzęcych do leczenia chorób ludzkich i t. p. Są to jeszcze początki, ale już dziś można widzieć, że rozwój terapii w tym kierunku się odbywa. Wszystkie te nowe środki już nie mogą być przyrządzane na małą skalę w aptekach, lecz wymagają osobnych instytucyj, specyalnych zakładów, produkcya ich musi być prowadzoną na wielką skalę, ażeby produkt był dostępny w cenie dla ogółu. Na czele tych instytucyj muszą stać osobistości z gruntownem wykształceniem naukowem i z wielkiem poczuciem odpowiedzialności, którą na siebie biorą. Gdy ma się przed sobą dziecko chore np. na dyfteryę, niema czasu ani możności próbować, czy surowica, której dostarcza apteka, jest dobrą, ona musi mieć na sobie markę, któraby dawała gwarancyę, że zawsze jest dobrą i tak przechowaną, że nie może być zepsutą. To samo można zastosować do wszystkich środków, które mają być sporządzone w sposób aseptyczny, do opatrunków chirurgicznych i t. p. Jeżeli następnie uwzględnimy, że ogromna ilość środków używanych w medycynie, szczególnie nowych, wyrabia się obecnie tylko w drodze fabrycznej, tak, że czynność aptekarza polega li tylko na użyciu odpowiedniej dozy; jeżeli uwzględnimy w końcu, że dzięki wolnej konkurencyi aptek we Francyi, tam przedewszystkiem, a obecnie i u nas wyrabia się masa najrozmaitszych pigułek, perełek, pastylek, kapsułek itp., w których najrozmaitsze lekarstwa znajdują się już w gotowych dozach, to będziemy musieli przyznać, że charakter czynności aptekarza już obecnie zasadniczo się zmienił, tem bardziej, że i sporządzanie lekarstw podług recepty, o ile takowa pochodzi od lekarza inteligentnego, nie blagiera, jest zwykle bardzo proste.

Jeżeli więc uwzględnimy, że w miarę środków państwo musi dążyć do tego, ażeby jak najwięcej było szpitali publicznych, ażeby jak największa ilość osób w chorobach cięższych, jeżeli nie wszyscy, znajdowała schronienie i opiekę bądź w szpitalach, bądź w innych specyalnych zakładach, co oczywiście byłoby najskuteczniejszym środkiem przeciwko wszelkim epidemiom, jeżeli następnie przyjmiemy pod uwagę, że sam kierunek obecny terapii wymaga nietylko dozoru, ale i gwarancyi rządowej od środków, które sprzedaje apteka, jeżeli w końcu uwzględnimy, że państwo zmuszane tokiem rzeczy do coraz większych wydatków na polu leczenia swoich obywateli, wprost nie ma racyi opłacać pośredników, gdy te same czynności może załatwić przez swoich funkcyonaryuszy, to ztąd najprostszy wniosek jest tylko ten, że jedyną racyonalną reformą aptekarstwa byłoby upaństwowienie aptek, albo jak w Austryi przejęcie aptek pod zarząd poszczególnych krajów.

Operacya ta wymagałaby oczywiście wykupna już istniejących koncesyj i następnie nowej organizacyi sprzedaży leków; byłaby to więc niewątpliwie operacya dość kosztowna, jednak że przy odpowiedniej organizacyi korzyści z niej mogłyby być bardzo znaczne. Jeżeli obecnie nietylko znajduje utrzymanie kilkaset rodzin aptekarzy i ich pomocników, a nadto z dochodu tego apteki pokrywają procenta od obciążającego je kapitału i przytem jeszcze na aptekach robi się dobry interes, to tem lepszy interes będzie robił kraj, gdy się stanie przedsiębiorcą w tym względzie na wielką skalę i gdy wskutek zniżenia ceny leków te ostatnie staną się dostępne dla mas. Reforma ta niewątpliwie przyczyniłaby się także do rozwoju przemysłu chemicznego w kraju; licząc na takiego odbiorcę, jak kraj, nawet osoby prywatne nie widziałyby ryzyka w zakładaniu fabryk chemicznych. Te znaczne sumy, które obecnie wypłacamy zagranicznym fabrykantom lub fabrykantom innych części monarchii, pozostałyby w kraju.

Odpowiedzialnymi kierownikami tych krajowych instytucyj aptecznych pozostaliby na razie obecni właściciele aptek i ukwalifikowani farmaceuci, jednakże ze względu na odpowiedzialność, która z tem stanowiskiem zostanie złączoną, wypadałoby znacznie podnieść wymagania pod względem wykształcenia naukowego i fachowego.

Przy tej sposobności pozwolę sobie zauważyć, że z jakichś niezrozumiałych powodów wykształcenie aptekarzy przedstawia do dziśdnia dziwną anomalię, jest ono jakimś przyczepkiem do wydziału filozoficznego i lekarskiego i nie posiada żadnych cech racyonalnego uniwersyteckiego studyum.

Jest także rzeczą niezrozumiałą, dlaczego od kandydatów tego zawodu wymaga się tylko ukończenia sześciu klas gimnazyalnych i dlaczego nauka przy uniwersytecie trwa tylko dwa lata. Wszak już dokładna znajomość samej tylko chemii, tej podstawy farmacyi, wobec dzisiejszego jej rozwoju, wymagałaby więcej czasu niż dwa lata, a przecież wypadałoby wymagać od kandydatów także pewnego wykształcenia ogólnego i znajomości wielu innych przedmiotów, które z zawodem aptekarskim zostają w związku. Gdyby nawet rzeczy zostały tak, jak są, to i tak wykształcenie aptekarzy wymaga stanowczo reformy. Przedewszystkiem należałoby żądać matury na równi z kandydatami do innych zawodów, a następnie wypadałoby przy uniwersytetach zorganizować osobne studyum aptekarskie na podobieństwo np. rolniczego, z kursem co najmniej czteroletnim. Natomiast uważałbym za zupełnie zbyteczną dwuletnią praktykę w aptece przed wstąpieniem do uniwersytetu. Wszystkie czynności w aptece są tak proste, że każdy inteligentny chemik, a w dodatku jeszcze specyalnie w tym kierunku kształcony, potrafi bardzo prędko w czynnościach się zoryentować i wymaganiom zadość uczynić, zresztą możnaby wymagać pewnej praktyki w aptece już po ukończeniu studyów, jak się wymaga od lekarzy praktyki szpitalnej. Funkcye zaś te, które obecnie spełniają praktykanci, mogłyby być polecone płatnym funkcyonaryuszom, jak to jest w Belgii, gdzie nawet dla takich funkcyonaryuszy istnieją osobne szkoły i gdzie w tej roli w znacznej liczbie znajdujemy kobiety.

W każdym razie przy reorganizacyi aptekarstwa wypada głównie mieć na względzie wprowadzenie takich zmian, ażeby apteka stała się dostępną i dla ludności najbiedniejszej.

Nasz wieśniak obecnie tak rzadko udaje się do lekarza nie dlatego, jakoby nie wierzył w medycynę lub nie chciał zapłacić lekarzowi, lecz głównie dlatego, że z poza lekarza wygląda widmo apteki, do której będzie zmuszony udać się z receptą. Odwiedzając chorych wieśniaków w kilku okolicach kraju niejednokrotnie znajdowałem nie użyte recepty innych lekarzy. Na zapyta-

nie, dlaczego podług tych recept nie brano lekarstwa, odbierałem zwykle jedną odpowiedź: aptekarz żądał reński lub dwa, a tej kwoty w owej chwili pacyent nie posiadał. Z chwilą, gdy apteki stałyby się instytucyami krajowymi lub państwowymi, a aptekarze tylko funkcyonaryuszami nie mającymi osobistego interesu, gdy dostawcą wszelkich środków byłby również kraj lub państwo, nie przedstawiałoby również interesu ani fałszowanie środków, ani sprzedawanie ich powyżej ustanowionej taksy. Ustałaby także kurfuszerka aptekarska, sprzedaż takich środków, jak komarowe sadła, a sądzę, że przy odpowiednich instrukcyach, przy odpowiedniej fachowej organizacyi i kontroli, wobec wyższego wykształcenia samych panów aptekarzy, nadużycia nie byłyby częstsze, aniżeli w innych przedsiębiorstwach, nieraz o wiele większych, które kraj lub państwo już obecnie na siebie prowadzi.

Prof. N. Cybulski.

SPRAWOZDANIA i RECENZYE.

Przegląd prasy.

W nr. 18 »Kraju« petersburskiego z 14 maja b. r. znajdujemy wyborny artykuł pióra Tadeusza Smarzewskiego p. t.: »Trochę statystyki«, w którym autor na podstawie zestawień pruskiej statystyki narodowości zebranej przy spisie ludności w r. 90 d. 1 grudnia, oraz statystyki narodowości między dziatwą szkolną zebranej w lipcu r. 91-go, odrzucając wszelkie posiłkowanie się statystyką wyznań z 2 grudnia r. 95-go, daje nam na podstawie porównania cyfr z r. 90 i 91-go niesłychanie cenne wskazówki i dane o przyszłości narodowości polskiej w 4-ech wschodnich państwa Pruskiego prowincyach.

Autor wychodzi z tego pewnika, że w powiatach, w których procent dzieci polskich w szkole jest większy niż procent ogólny ludności polskiej, żywioł nasz wzrasta, w powiatach zaś, w których procent dzieci nie dorównywa procentowi ogółu Polaków, wzrasta przeciwnie żywioł niemiecki.

Autor nie twierdzi bynajmniej, jakoby zwiększający się w stosunku do procentu ogółu ludności polskiej, procent dzieci polskich w szkołach dawał dokładny obraz wzrostu lub zaniku narodowości naszej w odnośnych powiatach, owszem ostrzega z góry, że czasem taki wzrost powstaje wskutek innych ubocznych przyczyn. Autor wylicza przykładowo takie przyczyny. Tak np. załoga wojskowa złożona z Niemców, obniżając procent polskiej ludności dorosłej, uwydatnia temsamem nadmierny przybytek procentu dzieci polskich. W takisam sposób odbija się na tej statystyce czasowe wychodźtwo osób dorosłych polskiej narodowości. Jeżeli zaś na odwrót, powiat jakiś ściąga z zewnątrz znaczną ilość polskiej ludności robotniczej, której potomstwo pozostało po za granicami powiatu, to w powiecie takim procentowy przyrost dziatwy polskiej będzie w zestawieniu statystycznem mniejszym niż w rzeczywistości.

Mimo to, pisze dalej autor, twierdzić można z czystem sumieniem, że wszędzie, gdzie istnieje znaczniejsza na naszą korzyść różnica między procentem ludności a procentem dziatwy, możemy bez względu na to, jakie są tej różnicy przyczyny, spodziewać się, że w miarę dorastania tej dziatwy, obraz statystyczny powiatu zmieni się raczej na lepsze niż na gorsze.

Przypatrzmy się teraz dokonanym przez autora zestawieniom.

Państwo Pruskie obejmuje 549 powiatów. W tej liczbie znajdujemy 97 powiatów, w których Polacy stanowili w r. 90-tym więcej niż 20-tą cześć mieszkańców.

Należą tu także 2 powiaty westfalskie Gelsenkirchen i Becklinghausen, do których napływa coraz liczniej ludność robotnicza polska.

Biorąc jednak na uwagę tylko 95 powiatów wschodnich i uszykowawszy je w szereg zaczynający się od powiatu najbardziej zaludnionego przez Polaków, a kończący się na powiecie najbardziej zniemczonym, wyjmuje autor z tej długiej listy kilka grup na próbę.

Zacząwszy od ks. Poznańskiego, wymienia najpierw autor sześć najlepszych powiatów t. j.: Odolanowski, Kościański, Ostrzeszowski, Poznański zachodni, Gostyński i Wrzesieński, w których Polacy stanowią olbrzymią większość, bo od 856 do 929 na 1000, a gdzie procent dzieci polskich jest w każdym powiecie znakomicie większym od ogólnej liczby Polaków i wynosi od 883 do 953 na 1000.

Następnie przeskakuje autor do grupy powiatów najbardziej zniemczonych w księstwie.

Są to powiaty: Poznański miejski, Międzychodzki, Babimojski, Wyrzyski, Bygdoski i Leszczyński, gdzie Polacy stanowią już tylko połowę, lub mniej niż połowę ludności. Tutaj już stosunki nie świetne. Wprawdzie 3 z tych powiatów wykazują w rubryce procentu dzieci przyrost niewątpliwy, a w pow. Poznań miasto nawet znaczny lecz w 3 na odwrót powiatach t. j. Międzychodzkim, Babimojskim i Bygdoskim stosunek jest odwrotny a nawet w ostatnim bardzo smutny. Te 3 więc powiaty są niewątpliwie na drodze do germanizacyi.

Z Poznańskiego przenosi się autor odrazu do krainy, w której polskość od niedawna dopiero się obudziła tj. do Prus wschodnich. Polacy zamieszkują w dzisiejszych Prusach wschodnich 10 powiatów. W 7 więc powiatach stanowią większość, a w 3 pokaźną mniejszość. W 9 z tych powiatów, w których procent ludności polskiej wynosi od 458 do 766 na 1000 wynosi procent dzieci od 531 do 813 na 1000 i przyrost w każdym z tych powiatów jest znakomity.

Otóż tutaj widzim wyraźnie budzenie się narodu. Te 9 powiatów staną się z czasem czysto polskim okręgiem.

Najciekawszem jest podane dalej zestawienie odnoszące się do powiatów kaszubskich. Niemcy twierdząc uparcie, że Kaszubi stanowią odrębną zupełnie od Polaków narodowość, podzielili przy spisie ludności na Kaszubów, Polaków i Niemców. I oto co z tego wypadło?

W powiecie Puckim:

	Polaków	Kaszubów	razem
na 1000 ludności	25·2	651·8	677·0
na 1000 dzieci	343·8	348·8	692·6

W powiecie Kartuzkim:

	Polaków	Kaszubów	razem
na 1000 ludności	378·0	286·5	664·5
na 1000 dzieci	535·2	111·7	646·9

W powiecie Wejcherowskim:

	Polaków	Kaszubów	razem
na 1000 ludności	166·7	379·6	546·3
na 1000 dzieci	457·2	114·1	571·3

Pokazuje się więc, że dzieci kaszubskie inaczej zapatrują się na kwestyę odrębności narodowości kaszubskiej i w ogromnej większości podają się jako Polacy.

Następnie przenosi się autor na Szląsk pruski do kraju, w którym przypisywane wielkopolskiej agitacyi obudzenie się polskości do takiej wściekłości doprowadza pruską antipolską mafię, i gdzie pruska komisya kolonizacyjna nie wiele może pomódz niemczyźnie, bo tam niema większej własności w rękach Polaków.

Autor wymienia pięć najlepszych na Szląsku powiatów t. j.: Pszczyński, Oleski, Rybnicki, Nubliniecki i Strzelecki.

W tych 5 powiatach stanowią Polacy olbrzymią większość, bo od 825 do 883 na 1000. Przyrost procentu dzieci polskich w szkołach w tych powiatach jest znakomity. Liczba dzieci wynosi tam od 839 do 928 na tysiąc.

Aby zaś nie być posądzonym o zbytni optymizm, przeskakuje wreszcie autor aż za Odrę, gdzie po tylu wiekach już tylko strzępy z nas pozostały.

I tutaj w 2 powiatach t. j.: Raciborskim i Prudnickim stanowią Polacy blisko połowę ludności, i tutaj nietylko w 2 wyżej wymienionych, ale nawet w wyłącznie niemieckim powiecie Głubczyckim, gdzie na 1000 ludności jest tylko 57 Polaków, wynosi liczba dzieci polskich już 80 na tysiąc.

Reasumując powyższe swe obliczenia, wyłącza autor z ogólnej liczby 95 przez Polaków zamieszkałych powiatów wschodnich, wszystkie te, w których różnica między procentem ludności polskiej a procentem dziatwy w szkole jest mniejszą niż 10 na tysiąc, bez względu na to, czy różnica ta wychodzi na naszą korzyść, czy na korzyść Niemców.

Po dokonaniu tego wyłączenia pozostaje 70 powiatów.

Z tych 70 powiatów jest 62 takich, w których mamy dzieci polskich ponad procentową ilość Polaków, w tych zatem 62 powiatach będziemy mieli w przyszłości większy procent wyborców polskich niż dzisiaj.

Powiatów zaś, w których w tym samym stosunku przybywa dzieci niemieckich, które zatem postępują na drodze germanizacyi, jest ośm.

Są to powiaty w księstwie: Bygdoski, Szumiński, Szamotulski, Śmigielski i Sredzki; w Prusach zachodnich: Złotowski i Kartuzki i na Szląsku Tarnowski.

W konkluzyi swych wywodów ostrzega autor, by się nie upajać pomyślnym wynikiem tych obliczeń. Bo wprawdzie według statystyki pruskiej w małżeństwach polskich rodzi się przeciętnie 5·24 dzieci, podczas gdy w niemieckich tylko 4·35, wprawdzie przyrost żywiołu polskiego pod panowaniem pruskiem jest niewątpliwy i w przyszłości pozwala się nam spodziewać znacznego wzmocnienia naszych reprezentacyi parlamentarnych w Berlinie, wprawdzie nawet w tych okolicach gdzie głucho już było o jakiemkolwiek znaczeniu i wzroście żywiołu polskiego, t. j. w Prusach wschodnich i Szląsku narodowość nasza budzi się z wiekowego uśpienia z elementarną niemal siłą, mimo to ostrzega autor przed zbytnim optymizmem, przywodząc wątpliwość, czy rozmnażanie się ludności polskiej nie jest tylko rozmnażaniem się proletaryatu polskiego, i że o przechyleniu się szali na naszą korzyść dopiero wówczas z całym spokojem mówićby można, gdybyśmy stwierdzili, że równocześnie z liczebnym rozrostem naszego społeczeństwa, wzrasta jego zamożność i wykształcenie.

I trudno nie zgodzić się pod tym względem z szanownym autorem.

Zamożność mogłaby wzrastać pod zaborem pruskim na równi przynajmniej ze wzrostem ludności, gdyby nie było komisyi kolonizacyjnych i 200-milijonowych funduszów wraz z odsetkami przeznaczonych na wydarcie nam ziemi i uniemożliwienie bezrolnym dojścia do posiadania tego najważniejszego warsztatu pracy niezawisłej, na którym od wieków pracować się przyzwyczailiśmy. Zamożność mogłaby wzrastać i po miastach naszych, gdyby nie antypolskie waryactwa hakatystów i bojkotowanie polskich przemysłowców i kupców, gdyby nie uniemożliwienie Polakom dostępu do urzędów w ich kraju rodzinnym.

Oświata mogłaby wzrastać, gdyby nie ogłupiający system usiłowanego germanizowania dzieci przez szkołę, a dorosłych w wojsku i w każdem zetknięciu się z sądem lub innym urzędem.

A niema się co łudzić, by pod rządem pruskim mogło się dla nas co zmienić na lepsze. Cała przeszłość dostatecznie ostrzega nas przed złudzeniami i optymizmem.

Wszak od czasu złamanych przyrzeczeń królów pruskich z r. 1815, do układów z Potworowskim o założenie uniwersytetu w Poznaniu, do podszeptów i roli odegranej przez Prusy w r. 63 i po nim, do edyktów banicyjnych Bismarka, aż do zasilenia funduszu kolonizacyjnego nowymi 100 miljonami, do 400-tysięcznego wsparcia dla hakatystów i okólniku do urzędników oraz ostatniego bezwarunkowego zakazu nauki czytania i pisania po polsku, ciągle jedno nieprzerwane pasmo gwałtów, zdrady i nienawiści.

Lecz w tem zwątpieniu, w tem całkiem zrozumiałem uczuciu nienawiści do ciemiężycieli, i w tej coraz rosnącej energji obrony naszej ziemi i języka, dwie przynajmniej przyświecają nam pociechy.

Jedna, to możność naszego plemienia i rozbudzona w najszerszych już masach świadomość narodowa.

Druga, natury co prawda ujemnej, to ta myśl i ta pewność, że rządy pruskie ciągnąc nas coraz silniej w przepaść ruiny ekonomicznej, osłabiała zarazem siłę podatkową i odporność własnego państwa, że gotują temu państwu na przyszłość groźne, wewnętrzne i zewnętrzne niebezpieczeństwo.

W e w n ę t r z n e, bo każdy eksterminacyjną polityką spowodowany ubytek w szeregach narodowych polskich, będzie przybytkiem w licznych już szeregach stronnictwa przewrotu społecznego.

Z e w n ę t r z n e, bo na wypadek wojny z Rosyą nie może być obojętnem, jeżeli się ma na samem pograniczu 3 milijony śmiertelnych wrogów między własnymi poddanymi.

A do tej głównej naszej »*Schadenfreude*« przybywają i mniejsze.

Proletaryzując społeczeństwo polskie osiadłe we wschodnich prowincyach, spycha rząd pruski w przepaść upadku ekonomicznego i niemieckich swoich poddanych wśród ludności polskiej osiadłych. Bojkotując kupców i przemysłowców polskich, wywołuje się taką samą akcyę i z przeciwnej strony. Wykupując majątki ziemskie z rąk polskich w celu osadzenia na nich niemieckich kolonistów, wywołuje się obronę konieczną w postaci kolonizacyi wewnętrznej polskiej.

W rezultacie tego w niedługim przeciągu czasu mniejsza ilość inteligentnych rolników zastąpioną zostanie przez mniejszą ilość słabszych ekonomicznie, mniej inteligentnych, gospodarujących daleko gorzej. W następstwie obniżenie produkcyi rolniczej kraju i osłabienie jego siły podatkowej, w następstwie podkopanie zarówno polskiego jak i niemieckiego przemysłu i handlu w tych prowincyach i upadek zniemczonych już znacznie miast.

Drobni bowiem rolnicy, chłopi, mający mniejszą inteligencyę i mniejsze potrzeby, którym produkcya z własnego gospodarstwa na zaspokojenie niezbędnych potrzeb zupełnie wystarcza, nie są konsumentami, na którychby produkcya przemysłowa mogła liczyć.

A przy tem, jak dowodzi statystyka, ostateczny cel tych wszystkich antypolskich środków jest do osiągnięcia tak trudnym, wobec mnożności Polaków i obudzonego w wysokim stopniu poczucia narodowego tak dalekim, że niczem to słońce niemieckie zejdzie na tych wschodnich kresach, to rosa może wygryść oczy prawnukom dzisiejszych pruskich ministrów.

Bo osiągną niewątpliwie daleko prędzej inny, ze stanowiska państwowości pruskiej mniej może pożądany rezultat t. j. zdemoralizowanie i sproletaryzowanie nie tylko polskiego ale i niemieckiego społeczeństwa we wschodnich prowincyach.

Akcya więc przedsięwzięta w celu zagłady polskości jest nietylko niemoralną i przewrotną, ale w dodatku ze stanowiska zachłanności pruskiej nierozumną.

Dawniejsze kroki rządów pruskich bywały aż nazbyt często nikczemne, ale przynajmniej ze stanowiska specyficznie pruskiej moralności, co siłę przed sprawiedliwością i prawem uznaje, bywały rozumne.

Począwszy od Fryderyka II-go, który fałszował polską monetę, który po rozbiorze w r. 1772 swym własnym urzędnikom polecał namawiać nowych poddanych, by odmawiali składania przysięgi poddańczej, aby mieć tytuł do konfiskowania ich majątków, aż do fałszowanych depesz dyplomatycznych i rad udzielanych rządowi rosyjskiemu co do postępowania z Polakami, wszystko to było nikczemne wprawdzie, ale na tyle sprytnie obmyślane, że się państwu pruskiemu sowicie przynajmniej opłaciło.

Ostatnie jednak kroki antypolskie rządu pruskiego zdradzają wprawdzie pewien postęp w obłudzie, ale zato zupełny niemal zanik tego sprytu i tej politycznej myśli, która stanowiła do niedawna źródło wzrostu i potęgi monarchji Hohenzollernów.

A to także dla nas »*Schadenfreude*«.

Poznańczyk.

Z dziedziny ekonomii politycznej.

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz T. J.: »Strejk wobec etyki«. Odbitka z »Przeglądu Powszechnego«. Nakładem Redakcyi. Kraków, 1898 r.

Rozprawa ks. Piątkiewicza jest dobrą już choćby dlatego, że oświetlając konsekwentnie szereg ważnych zagadnień z jednolitego punktu widzenia wzbudza zapał polemiczny w czytelnikach, którzy albo wcale nie podzielają zasadniczego punktu widzenia autora, albo też hołdują mu tylko częściowo. Hypoteza prawa natury, przez Boga ustanowionego jest tą czerwoną nicią, która stanowi tło i podstawę wywodów uczonego Jezuity. Zastosowanie wymogów prawa natury do konkretnych, poszczególnych wypadków poucza nas o tem, co w danych warunkach, zmiennych w miarę zmiany miejsca i czasu, jest sprawiedliwem. Autorowi chodzi o określenie postulatów sprawiedliwości bezwzględnej w ten sposób pojętej wobec strejku.

Oczywiście całe to rozumowanie odpada, jeżli trzymając się ściśle metody historycznej przez część ekonomistów i prawników przyjętej, odrzucimy hypotezę prawa natury. Kwestya ta wywołała już istną powódź atramentu, ograniczam się wiec do zaznaczenia, że jest nadzwyczaj sporną i że możnaby niejeden zarzut ukuć przeciwko tej hypotezie z wniosków, do których ks. Piątkiewicz doszedł.

Rozbiór pytania podstawowego, odnoszącego się do wolności koalicyi, już nam nasuwa wątpliwości w tym kierunku; autor wyprowadza wolność koalicyi z prawa natury, odmawia zatem państwu prawa wydania zakazu koalicyi, aczkolwiek uznaje uprawnienie kontroli państwowej, oraz pewnych przepisów administracyjnych wolność tę ścieśniających. Z drugiej jednak strony kładzie ks. Piątkiewicz wielki nacisk na dobrowolność koalicyi, ponieważ zaś, jak wiadomo, przy strejkach można niemal uważać za regułę wywieranie przymusu moralnego, a nawet fizycznego, na mniejszość opierająca się strejkowi, przeto zazwyczaj w praktyce zachodzi potrzeba interwencyi władzy państwowej wobec mniejszości. Interwencya w obronie dobrowolności koalicyi jest, logicznie wnioskując z wywodów autora, uzasadnioną. Otóż w tym wypadku łatwo okazać się może w pewnych warunkach, że jedynym sposobem skutecznym ochrony mniejszości będzie rozwiązanie stowarzyszeń, które strejk popierają. — Obecnie w Niemczech żywo jest rozstrząsaną w tamtejszych kołach prawniczych, nieuwzględniona przez autora kwestya, czy strejkującym można przyznać prawo ustawienia straży, powstrzymującej towarzyszy o strejku niewiedzących lub strejkowi niechętnych od udawania się do fabryki, wogóle na miejsce pracy. Rozstrzygnięcie kwestyi zależy mojem zdaniem od tego czysto faktycznego momentu, jakimi środkami działają owe straże; przeciwko legalnej perswazyi trudno występywać, nie da się jednak zaprzeczyć, że niezbędny czasami w razie niedojrzałości, niewyrobienia strejkujących mas, zakaz stawiania straży równa się w praktyce ubezwładnieniu prawa koalicyi, a więc naruszeniu prawa natury.

Jeszcze silniejsze wątpliwości nasuwa następny rozdział, omawiający zbiorowe zawieszenie pracy. Ks. Piątkiewicz odmawia robotnikowi prawa łamania ważnie zawartej umowy z przedsiębiorcą, natomiast wolno mu niedotrzymać kontraktu nieważnego, sprzecznego z prawem natury. Umową taką jest np. zobowiązanie się do pracy, przeszkadzającej w spełnieniu niedzielnych powinności religijnych lub niezabezpieczającej »prawa do bytu« robotnikowi. Wynagrodzenie za pracę powinno obejmować »minimum egzystencyi«; nie łatwo ściśle określić, co pod tymi słowami rozumieć należy; pewne wskazówki na pierwszy rzut oka zdaje się zawierać definicya sprawiedliwej płacy; jestto »wynagrodzenie, któreby z jednej strony stanowiło ekwiwalent tejże

pracy, czyli odpowiadało jej objektywnej wartości, z drugiej wystarczało na utrzymanie choćby skromne, ale godne człowieka« (str. 66). Teorya wartości przedmiotowej jest dziś zakwestyonowaną, wielu uczonych zwątpiło o możności jej oznaczenia, »utrzymanie godne człowieka« odpowiada zdaje się pojęciu: »*standard of life*«, znanemu ze swej nieuchwytności. Mam wrażenie, że prawo natury tak ujęte nie da nam możności rozstrzygnięcia konkretnego wypadku.

Natomiast w całej pełni można zgodzić się na wywody ks. Piątkiewicza o wynikach strejku. Na podstawie statystyki, zgodnie z rezolucyą wiedeńskiego kongresu austryackich robotniczych związków zawodowych ostrzega autor przed lekkomyślną agitacyą za strejkami, których przeważna część kończy się odrzuceniem żądań robotniczych; jest szczegółem charakterystycznym, że powodzenie towarzyszy zazwyczaj tylko strejkom mniejszych rozmiarów. »Etyka, jakkolwiek nie odrzuca strejku w zasadzie, w gruncie rzeczy uważa go jednak za środek gwałtowny i anormalny, którego użycie li tylko z konieczności usprawiedliwionem być może« (str. 101) — oto konkluzya.

W całej rozprawie ks. Piątkiewicza przebija się pojmowanie strejku jako jednej z kart w ekonomicznej walce o byt. Taki stan rzeczy można było może w pierwszej połowie bieżącego wieku uważać za regułę, wówczas głównym celem strejków było albo podwyższenie płacy, albo zmniejszenie ilości godzin pracy. Obecnie wprawdzie także cele ekonomiczne odgrywają ważną rolę, ale obok nich pojawiają się strejki z charakterem innym, politycznym lub stanowym. W Niemczech i we Francyi strejki częstokroć przybierają charakter agitacyjny w rękach parlamentarnych menerów; we Francyi np. przed kilku laty strejk węglarzy, inscenizowany przez deputowanego Basly, a pozbawiony głębszych przyczyn ekonomicznych. Kierownictwo rzeczywiste strejku spoczywa wówczas zazwyczaj nie w ręku robotniczych korporacyi zawodowych, lecz polityków i redaktorów socyalistycznych pisemek. Zdarza się często, że strejkujący upoważniają do rokowań posłów do parlamentu właściwego okręgu, nie należących do zawodu, w obrębie którego wybuchł strejk. Podczas ostatniego wielkiego strejku robotników dokowych w Hamburgu, przedsiębiorcy nie chcieli — i to zupełnie słusznie mojem zdaniem — prowadzić rokowań z hamburskimi deputowanymi, występującymi w charakterze pełnomocników strejkujących.

Trochę odmienny, ale pokrewny charakter mają strejki które nazwałbym stanowymi, ich główną siedzibą jest Anglia, a ich narzędziami są tamtejsze potężne związki zawodowe (»*trades-unions*«). Rysem charakterystycznym jest tutaj dążenie do kierowania przedsiębiorstwem; początkiem robotniczej huty szklanej w Albi jest właśnie strejk tego rodzaju. Jeden z robotników, znany agitator socyalistyczny, zaniedbujący swe obowiązki, został wybranym do rady gminnej w Carmaux, skutkiem czego przestał niemal całkiem uczęszczać do fabryki, przedsiębiorca wydalił go, a towarzysze jego uznali za stosowne razem z nim opuścić fabrykę. W Anglii ostatni wielki strejk maszynistów toczył się nie tyle na tle żądanego przez robotników zmniejszenia ilości godzin pracy, ile na tle tendencyi przedsiębiorców do wyemancypowania się z pod uciążliwej kontroli związków zawodowych; zresztą w Anglii coraz to częściej odzywają się głosy, ostrzegające przed upadkiem wywozu angielskiego, osłabieniem wytwórczości, wywołanym przemożnym wpływem stowarzyszeń robotniczych. — W oświetleniu tych faktów nieuwzględnionych przez autora kwestya strejku rozszerza się i pogłębia. *X.*

Ks. Władysław M. Dębicki: »Przyszłość Chin. Groźne wnioski z przesłanek lekceważonych«. Warszawa Nakład Gebethnera i Wolfa 1898.

Wojna japońsko-chińska spotęgowała zainteresowanie się sprawami dalekiego Wschodu wśród społeczeństw europejskich. W czasopismach naukowych i gazetach pojawiają się coraz to częściej artykuły zajmujące się rozbiorem tych kwestyi; jedna myśl przedewszystkiem narzuca się uwadze piszących o przyszłej walce rasy żółtej z białą: chodzi im o zagrożony wywóz europejski taniością sił roboczych w Japonii i państwie kwiatów. Ks. Dębicki pisze w tym samym duchu, ostrzega nas przed przecenianiem rozkładu politycznego Chin, przed płynącym z tego źródła zamykaniem oczu na niebezpieczeństwa ekonomiczne, tem groźniejsze, im bardziej zwycięskie wojny otwierają na oścież bramy Chin wpływom europejskiej kultury, sądzi bowiem autor, że z chwilą, gdy Chińczycy zapoznać się zdołają z procederem europejskiej techniki przemysłowej, wówczas nietylko wyprą towar europejski z rynków ojczystych dzięki znacznej różnicy w kosztach przewozu, ale potrafią nawet robić groźną konkurencyę Europejczykom w ich własnych siedzibach z powodu niższych kosztów produkcyi towaru w Chinach, wywołanych niższą płacą robotnika.

Zresztą z Chin emigruje nietylko towar, ale i człowiek. Ameryka, Nowa Zelandya, Australia, gorączkowo zamykają swe komory przed napływem żółtej rasy, wypierającej białego robotnika. Liczne przykłady dodają mocy przekonywującej wywodom autora.

Ks. Dębicki przypuszcza nawet możliwość politycznych niebezpieczeństw. Najazd chiński jest jego zdaniem prawdopodobny i groźny, jeśli państwo środka znajdzie swego Napoleona.

Pomijając rozbiór tej ewentualności, chciałbym zastanowić się pokrótce nad ekonomicznemi przewidywaniami autora, które spoczywają bądź co bądź na pewniejszych podstawach, nadających im bardziej realny charakter, które zresztą i z tego względu zasługują na baczniejszą uwagę, ponieważ są wyrazem utartych poglądów, ponieważ można je uważać za *communis opinio doctorum*.

W pierwszym rzędzie uwzględnić trzeba, że niebezpieczeństwo nie grozi bezpośrednio europejskim gałęziom produkcyi na wywóz obliczonym, gdyż na razie przynajmniej wywóz raczej się wzmoże, jak zmniejszy. Czterysta milionów Chińczyków przedstawia olbrzymią zdolność spożywczą, w znacznej mierze dopiero dzięki ostatnim wojnom dostępną europejskiej produkcyi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pod wpływem przykładu Europy, potrzeby wzrastać będą, a zatem także zdolność spożywcza. Rozwój cywilizacyi wpłynie także na modyfikacyę zwyczaju kupowania towaru gorszego, ale tańszego, na którym opierają się szanse zwycięstwa miejscowego przemysłu. Przyswajanie sobie techniki zagranicznej nie będzie znowu tak szybkiem, gdyż technika i w Europie będzie nadal postępować, choćby nawet w zmniejszonem tempie. Wydatność pracy lepiej odżywionego i króciej, a zato intenzywniej pracującego robotnika angielskiego jest wyższą. Robotnik chiński i japoński z czasem stanie się także bardziej wymagającym, już teraz podobno istnieje w Yeddo stronnic-

two socyalistyczne, wywieszające na swym sztandarze hasło zmniejszenia godzin pracy obok równoczesnego podwyższenia zarobku. Rozwój produkcyi w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach zamorskich nie powstrzymał wzrostu dobrobytu w Europie, przeciwnie nastąpiła żywsza obustronna wymiana towarów, korzystna dla wszystkich zainteresowanych.

Gdyby autor zapoznał był czytelnika z tymi zarzutami, mógłby był dużo na nie odpowiedzieć. Powolne wypieranie wywozu angielskiego przez niemiecki dać nam powinno dużo do myślenia; adagium: *billig aber schlecht* i taniość niemieckiego robotnika znajdują się niewątpliwie, w przyczynowym związku z tym objawem. Pod wpływem silnej i skutecznej konkurencyi przemysł angielski coraz to bardziej odwraca się od wyrobu t. zw. towarów masowych. *(Massen-Artikel)*, przeznaczonych do użytku szerokich warstw, a zwrócił się do budowania fabryk, przeznaczonych do funkcyonowania w zamorskich krajach. Że ta faza rozwoju przemysłu eksportowego powiększa niebezpieczeństwo, o którem Ks. Dębicki pisze, jest rzeczą jasną.

Niebezpieczeństwo zatem istnieje. Bardzo być może, że objawi się ono przez powstrzymanie współczesnego ustawodawstwa robotniczego i wzrostu płac. Czy stan czwarty, ufny w dotychczasowe powodzenia, nie będzie stawiał temu obrotowi rzeczy oporu tak silnego, że podkopie egzystencyę produkcyi, a w dalszym ciągu i swą własną? Niebezpieczeństwo i intenzywność jego przejawów zależeć będą prawdopodobnie głównie od stanowiska rasy białej. Rozwój przedwczesny idei demokratycznej osłabi polityczną organizacyę państw zachodnio-europejskich, skrajne reformy socyalno-polityczne, oparte na interwencyi państwa, a przedsiębrane w formie i czasie niewłaściwym podkopią nasz byt ekonomiczny, wówczas niebezpieczeństwo zalewu rasy żółtej stanie się aktualnem.

Rozprawa ks. Dębickiego mimo swych rozmiarów (192 str.), ma charakter dziennikarski, choćby już dlatego, że podobnie jak rozprawa o budyzmie [1]) tego samego autora, korzysta wyłącznie ze źródeł drugorzędnych. Ks. Dębicki nie opisuje Chin ani na podstawie własnych spostrzeżeń, ani na podstawie znajomości oryginalnych tekstów.

Książka zyskałaby na opuszczeniu dość marnych ilustracyi, a na dodaniu spisu treści. Im więcej książek wychodzi, tem ważniejszą staje się rzeczą ułatwienie oryentowania się w tym ogromnym materyale. Niestety autorowie polscy często o tem zapominają — może spodziewają się w ten sposób zmusić recenzenta do przeczytania całej książki. *X.*

Ks. Jan Badeni T. J.: »Obrazki z Krakowskiej nędzy«. Odbitka z »Przeglądu Powszechnego«, nakładem Redakcyi. Kraków, 1897 r.

Tytuł nie zupełnie odpowiada treści, w tych szkicach jest może więcej systematyczności, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało, a luźna forma nadaje im znamię poczytności, zatem zdolność przeniknięcia do stosunkowo szerokiego grona czytelników, co odpowiada celowi książki; autorowi nie chodziło o wyczerpującą monografię przyczyn i skutków nędzy w Krakowie, ujętą w ścisłe, naukowe ramy, w statystyczne cyfry; punkt ciężkości rozprawy spoczywa w zawartej w ostatnim rozdziale zachęcie do praktycznego działania. Działalność instytucyi publicznych i prywatnych stowarzyszeń, oraz poszczególnych jednostek poszczycić się może niejednym pięknym owocem, aczkolwiek za wystarczającą ks. Badeni jej nie uważa; toteż nie tyle chodzi mu o wezwanie społeczeństwa do ponoszenia dalszych ofiar na tej drodze, ile o skierowanie odnośnej (trochę biurokratyczne, ale ścisłe wyrażenie) działalności na rozumniejsze tory.

Organizacya dobroczynności — oto hasło, w obronie którego autor kruszy kopię; do pracy w tym kierunku nawoływano już niejednokrotnie, zagranicą słowo już ciałem się stało. Paryż i Londyn posiadają stowarzyszenia zajmujące się nie bezpośrednio dobroczynnością, lecz wyłącznie jej organizacyą, w Niemczech gminy rozwijają na tem polu skuteczną działalność. U nas w Krakowie dzieje się jeszcze wszystko po dawnemu, stosunek między ponoszonymi ofiarami, a osiąganymi skutkami jest niekorzystny, wydajność akcyi dobroczynnej małą.

Z powodu braku wszelkiego wiarygodnego źródła informacyi o ubogich daje się często osobom zupełnie tego nie godnym, z powodu braku łączności między poszczególnymi stowarzyszeniami jedni dostają wsparcie niepotrzebnie aż z kilku stron, inni pozbawieni są zupełnie pomocy. Publiczność nasza niema pojęcia o potrzebie i o sposobach racyonalnej dobroczynności. Rozpowszechnione jest dawanie jałmużn centowych żebrakom po ulicy, co jest równoznacznem z wyrzucaniem tysięcy, a nawet milionów rocznie, jeśli się weźmie pod uwagę większe obszary terytoryalne. Zasada nie dawania wsparć gotówką, lecz naturaliami jeszcze się nie wżyła. Właściwością naszego społeczeństwa jest także niezwykła nieudolność w tworzeniu fundacyi, szczególniej pośmiertnych, której wspaniałym pomnikiem jest n. p. prawdziwie monumentalny zakład Helclów, i mania kreowania coraz to nowych stypendyów.

Rozprawa ks. Badeniego jest wykazaniem potrzeby reformy tych stosunków i zbiorem materyałów do niej, oby tylko głos autora nie pozostał głosem wołającego na puszczy.

Autor w pierwszych rozdziałach swej pracy kreśli obraz faktycznego stanu rzeczy, poczem omawia przyczyny i skutki nędzy krakowskiej, oraz środki zaradcze, t. j. działalność stowarzyszeń prywatnych, religijnych i świeckich w walce z ubóstwem. Z charakterystyki przyczyn warto podnieść, że ks. Badeni oświadcza się przeciwko wszelkiej jednostronności w konstrukcyi związku kausalnego. Odrzuca teoryę, wedle której ubóstwo jest zawsze wynikiem przywar danej jednostki, jej lekkomyślności, próżniactwa i t. d., odrzuca również na podstawie przekonywujących przykładów teoryę spychającą wszystko na barki społeczeństwa, jego złej organizacyi, niedozwalającej wszystkim znaleść pożądanego, a wystarczającego zarobku; szczęśliwie i mojem zdaniem trafnie polemizuje autor przeciwko poglądowi propagowanemu przedewszystkiem przez pisemka socyalistyczne, a dopatrującemu się jedynej przyczyny demoralizacyi wśród płci pięknej warstw niższych w niedostatku ekonomicznym.

Wierny praktycznym celom, zakreślonym w swej książce, ks. Badeni nie rozbiera przeważnie teoretycznej ale zasadniczej kwestyi, czy dobroczynność wogóle jest uprawnioną. *X.*

[1]) Filozofia nicości. Rzecz o istocie budyzmu. Kraków, 1896 r.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Dr. Antoni Górski**, Prof. U. J.
1898. W Krakowie. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.